

OD REDAKCYI.

Z tym numerem zaczyna się drugie półrocze istnienia „Prze-
glądu akademickiego.“ Abonentom **półrocznym**, którzy
zechcieliby otrzymywać nadal nasze czasopismo, przypomi-
namy uprzejmie, że czas już odnowić prenumeratę. Pożądanem
by było, żeby stało się to jak najprędzej, musimy bowiem
z góry uregulować nakład.

»I dam im serce jedno i drogę jedną.«
Jeremi. XXXVI.

Fzawe oczy całej Polski zwróciły się przed trzydziestu z górą
laty na Wschód, skąd wieść biegła żałobna, że pod da-
lekiem niebem Bosforu ułożył się na wieczny spoczynek
król-duch, narodu wieszcz. Bólem ściśnięte serca towarzyszyły
drogie zwłoki kryjącej trumnie, w podróży jej na ziemię fran-
cuzką, gościnną i szczerze nam wówczas życzliwą, ziemię
świątecznych nadziei i gorzkich zawodów, ziemię, na której życie
nasze narodowe tłumione i gnębione w kraju tém żywszém
biło tentnem... Ciało ukryła mogiła, ale nie umarł dla narodu
ten, kto stał się własnością Polski, bo ją »kochał i cierpiał za
miliony...« Cała Polska, obchodząc rokrocznie pamięć Jego
zgonu pytała się, dlaczego sztywne cyprysy a nie smętne na-
sze sosny i brzozy grób jego ocieniają, dlaczego Wisła lub
Niemen nie śpiewa mu fal swych szmerem pieśni do wiecznego
snu, dlaczego naród cały nie czuwa nad prochami Jego? Dla-
czego?... W tém pytaniu mieści się cała tragedia ostatnich
lat dziejów naszych... Lecz oto nadeszła ta promienna chwila,

w której prochy poety spoczną w ziemi ojczystej, którą opuścił jako młody, pełen siły wygnaniec-bard, co dźwiękiem swej lutni budził naród do życia i walki, każąc mu w zapale dla sprawy wolności »mierzyć siłę na zamiary!« Opuścił ją, by na obcej ziemi blaskiem swej sławy opromieniać naród cały, głosić światu że żyjemy, pieśnią swą protestować przeciw naszej zagładzie.

Wraca prochem — ale większy i potężniejszy niż był za życia, bo nad trumną Jego unosi się całego narodu duch.

Opuścił ziemię rodzinną jako tułacz, wraca prochem — tryumfator; za żalobnym rydwanem pójdą z kornie schyłonem czołem wszystkie stany i wyznania, złączone w jeden stan — wiernych synów ojczyzny, w jedno wyznanie — odrodzenia.

Nie pierwsze wielkie umarłego szczątki powita stary gród. W dniu 17 lipca r. 1817, zwłoki ks. Józefa Poniatowskiego a 11 kwietnia r. 1818 zwłoki Tadeusza Kościuszki prowadzono wśród huku dział i jęku dzwonów, w otoczeniu władz rzeczypospolitej krakowskiej i jej wojska do świątyni Wawelskiej. Dzisiaj czasy inne... Powita jednak wieszczą chorał dzwonów świątyń krakowskich, powita go stary Zygmunt, co brzmiał na tyłu królewskich pogrzebach, powitają na Wawelu dumy stare, króla pieśni, w polskiej ziemi powitają dawne jej króle, do rycerza lutni wyciągną dłonie snem wiecznym spowici miecza rycerze....

Za rydwanem z czią i dumą szlachetną pójdzie młodzież polska, bo tej młodzieży zasługą, że uchwałą Walnego Zgromadzenia Czytelni Akademickiej z dnia 10 Listop. 1887 r. postanawiając sprowadzić do kraju zwłoki poety, dała inicjatywę i rzecz całą ze sfery projektów w czyn przemieniła.

Zupełnie naturalną i słuszną jest rzeczą, że kierownictwo nad samą uroczystością oddaliśmy w ręce najwyższej polskiej władzy, jaką jest Wydział krajowy; wymagała tego godność obchodu, wymagał tego narodowy jego charakter.

W imieniu narodu odbiorą w Paryżu drogę zwłoki, reprezentant Wydziału krajowego, najwybitniejszy z piszących dzisiaj poetów polskich i reprezentant młodzieży polskiej.

Udział młodzieży w tym akcie nie powinien być suchą formalnością, ale powinien mieć znaczenie głębsze i żywotniejsze, powinien młodzież na przyszłość zobowiązywać.

Udział jej w pogrzebie będzie aktem hołdu — a dążyć ma do nadania obchodowi cechy wybitnie narodowej, bo taką cechę pogrzeb Mickiewicza mieć powinien i musi, bo młodzież ani na chwilę nie może zapomnieć, że jest polską.

Przy trumnie wieszczą zgromadzi się młodzież polska różnych Uniwersytetów, młodzież trzech dzielnic; niechże dzień ten nie minie bez trwałych dla niej wspomnień, niech będzie dniem podania sobie bratniej dłoni, dniem umocnienia uczuć narodowych, zachęty do dalszej pracy dla narodu.

Że się różnimy pod względem usposobienia a po części i zasad — nic dziwnego. Rozdzieleni, odcięci od siebie, wzrastamy wśród różnych wpływów i warunków, w różnym otoczeniu. Dla większości młodzieży polskiej, szkoła — to niestające tortury moralne, to zaciekle walcą z wynaradawiającym systemem, z systematycznym ogłupianiem, dążącym do zniszczenia poczucia własnej godności, a wytworzenia karnych, bezmyślnych maszyn. Szczęśliwi jeszcze ci, którzy choć w obcym, nienawistnym języku, ale wśród swoich, na ojczystej ziemi kształcić się mogą. Gdy jednak jednej dzielnicy Polski nie dano wyższego zakładu naukowego, w drugiej ograniczono młodzież do jedynego Uniwersytetu warszawskiego, zmuszając ją systematycznie do wędrówki na daleki Wschód, gdzieby zapomniała ojczystej mowy i narodowych ideałów. Przyznać musimy młodzieży z pod zaboru rosyjskiego, że przewyższa nas energią, solidarnością i odpornością, lecz niemniej ze smutkiem zaznaczyć trzeba, że drogi jej zbaczają często z torów czysto narodowych. Za mało tam zapалу dla Polski, dla sprawy ojczystej, a za wiele ognia dla spraw ogólnoludzkich i ogólnosłowiańskich. Minęły czasy tajnych spisków i związków, o powstaniu nikt teraz seryo nie myśli — zgoda na to... Ale pocóż marnować siły i czas w obronie rosyjskich prądów rewolucyjnych, cóż młodzież polska może mieć wspólnego z rosyjską, która może nienawidzi caratu, ale i nas z pewnością nie uwielbia... Możeby lepiej było w tym razie zastó-

sować się do egoistycznego zresztą przysłowia »Prima caritas ab ego.« Pomyślmy najpierw o sobie, pracujmy wprzód nad sobą, bo nie jesteśmy tak doskonali, żebyśmy zapominając o własnych sprawach, dla cudzych działać mogli. A nam samym ileż jeszcze brakuje...

Z roku na rok młode pokolenia akademickie coraz niedojrzalsze, coraz niesforniejsze, mniej poważnie myślące a coraz bardziej »luzem« chodzące. Zapalać nie brak, ale zbyt często zapalać to słomiany... Bucha wysoko, grzeje bardzo, — ale krótko i pozostawia tylko dym — często ciemny i gryzący... Nie dość zapalać się do każdej nowej idei, nie dość dążyć do szlachetnych ideałów! Trzeba więcej zmysłu krytycznego, trzeba umieć odróżnić cel właściwy od mrzonek, trzeba wytrwałości, hartu, a przede wszystkim — rozwagi. Wielki dzień pogrzebu mistrza, niech będzie dniem odrodzenia, dniem wyszlachetnienia... Kolegom naszym z pod obcych zaborów niech podniesie ducha, niech im wskaże bliższy a świętszy cel, nam niech doda energii, a wszystkich niech połączy węzłem miłości i braterstwa, abyśmy ze wstydem nie powtórzyli słów: Diem perdidi... Drogi nasze mogą być różne, ale cel jeden, a jasny, słoneczny. Dążmy do niego jak kto umie, — ale pamiętajmy zawsze, że jedność pierwszym warunkiem zwycięstwa...

.
 »W milionie głów — myśl jedna niechaj żyje
 I jedna pieśń niech z bratnich wzleci łon!
 Milionów dłoń — niech jednym młotem bije
 I jeden spichrz — niech wspólny chowa plon«.

Redakcja.



SŁOWO DO LUDU *)

O ADAMIE MICKIEWICZU.



czy wiecie, bracia moi,
 Wy w sukmanie i w kapocie,
 Czemu tu się lud dziś roi,
 Czemu tu dziś ciągną krocie?

A czy wiecie, bracia moi,
 Co za wielki duch tu stoi,
 Jaka to jest ta mogiła,
 Co nam dzisiaj się wróciła?

Arka to jest narodowa,
 Co w niej Polska pieśń swą chowa,
 Arka to jest i skarbnica,
 A w niej życia tajemnica.

Pieśniarz to jest nad pieśniarze,
 Co z swej ziemi świętość zrobił,
 A jej pola, jak ołtarze,
 Kwieciami ducha przyozdobił.

Pieśniarz to jest, co swe życie
 W smutku spędził na obczyźnie,
 Co czystego serca bicie
 Oddał matce swej — Ojczyźnie.

*) Wspaniały wiersz ten najznakomitszej naszej poetki, przeznaczony na dzień sprowadzenia zwłok ś. p. Adama Mickiewicza, drukujemy w naszym piśmie, korzystając z zaszczytnego dla nas pozwolenia.

Pieśniarz to jest tego nieba,
Gdzie skowronek szary śpiewa,
Tego ładu, tego chleba,
Co się złotem przyodziewa.

Pieśniarz to jest nad narodem,
Co tak śpiewał pieśni swoje,
Że płynęły mlekiem, miodem,
Jako złote życia zdroje.

Pieśniarz to jest, przyjaciele!
Kochał wiele, cierpiał wiele,
A nie innej chciał pociechy,
Tylko zajść pod wasze strzechy.

I nie innej chciał radości,
Tylko do was przybyć w gości,
Tylko pieśnią was weselić,
Tylko duszą się podzielić.

Bo pieśń nie jest marnem echem,
Co rozebrzmi łzami, śmiechem,
Ona ci gdzieś w głębi duszy
Polskie czucie twe poruszy.

Bo pieśń nie jest marną rzeczą,
Ona głosem, jękiem ludu,
Ona duszę twą człowieczą
Otrze z pyłu, otrze z brudu.

Po wiosennym w polu grzmocie,
Łan — jak zajrzeć — stoi w złocie.
A jak trzcina rosna kłosy,
Pod perlami bujnej rosy.

Tak ci serce ludzkie w pieśni
Orzeźwieje, a ożyje,
Zbędzie starej swojej pleśni,
I świętością jakąś bije.

Bo jest wielką rzeczą słowo,
 Bóg niem stworzył świat z niczego,
 A mąż boży niem na nowo
 Stwarza ducha ludu swego.

Gdzie jest słowo, tam jest siła,
 A gdzie duch jest — tam i mowa,
 Choćby ziemia się zaćmiła,
 To jej światło pieśń dochowa.

Niechaj bije w ludy trwoga,
 Niech je pędzą na manowce,
 Póki własna pieśń im droga,
 Nie rozproszą się jak owce,

I choćby się też wskrósł świata
 Zeszli gdzie między obcemi,
 Z pieśni brat rozpozna brata,
 Z słodkiej mowy swojej ziemi.

A czy wiecie, bracia moi,
 Co za wielki duch tu stoi?
 Jaka to jest ta mogiła,
 Co z obczyzny nam wróciła?

Arka to jest narodowa,
 Co się w niej nadzieja chowa,
 Arka to jest i skarbnica,
 A w niej jutra tajemnica.

Bo nietylko był pieśniarzem
 Ten, co czcimy jego ducha,
 Lecz prorokiem przed ołtarzem,
 Co przyszłości głosów słucha.

To co wyrzekł — to się stało,
 Albo jeszcze nam się stanie,
 I ta ziemia, jak to ciało,
 Z grobu swego zmartwychwstanie.

Jako Łazarz w swej mogile
Obudził się na głos Pana,
Tak się wzmoże w ducha sile
Cała Polska pobratana!

Co powiedział — to się iści,
Albo jeszcze ziścić może.
Wrócą owi legjoniści,
Co gdzieś walczą w imię Boże,

Co gdzieś walczą w imię ziemi,
W imię światła dla przyszłości,
Wrócą zasiąść między swemi,
Między swemi złożyć kości.

Z za mórz wiela, z za gór wiela,
Nasi wrócą się tułacze,
I ustaną w dniu wesela
Ciężkie smutki, gorzkie płacze.

I otworzą się mogiły,
I zbudzi się dusza ludu,
I zbudzą się ludu siły,
I doczeka Polska cudu.

Co powiedział — to się iści,
Albo jeszcze ziścić może.
I nie będzie nienawiści,
Ani w chacie, ani w dworze,

Tylko jedna siła żywa,
Siła ręki, siła ducha,
Tak złączona, jak ogniwa
U jednego są łańcucha,

Tylko jedno pożądanie
Wspólnej pracy i swobody.
Co powiedział — to się stanie,
Wезде słońce nad narody.

Otwórzcież mu wasze wrota,
Niech jak zorza wszędzie złota
Między domostw waszych ściany,
Sercem przez was powitany.

Otwórzcież mu wasze progi,
Boć on z ciężkiej wraca drogi,
A te prochy i te kości
Już struchlały od tęskności.

Otwórzcież mu wasze sioła,
Niech go ojcem lud obwoła,
Niech jak słońce się rozświeci
Nad głowami waszych dzieci.

Wielka chwila dzisiaj bije
Nad tem miastem i nad ludem —
Ten, co umarł — znowu żyje,
Żyje w sercach naszych cudem.

Tysiąc piersi — jedno czuje,
Serc tysięcy jednym płonie...
W bratni uścisk lud ujmuje
Podawane bratnie dłonie.

Jako słońce to na niebie,
Tak narodu jedna dusza
Przy tym wielkim się pogrzebie
Nieśmiertelną siłą wzrusza.

O! pomnijcież, bracia moi,
Jaki wielki grób tu stoi,
Jaka wielka to mogiła,
Co z obczyzny nam wróciła!

M. K.

Z nad Odry i Warty nad Wisłę.

„Czemuś nagle, niespodzianie
Ziemia w zorzach się rozbłyska,
Derewłanie a Polanie,
Różni, różnych mian Słowianie
Biega święcić uroczyska...”

„*Duch od stepu.*“ **Bohdan Zaleski.**

Lud — praca nad ludem — oto hasła powtarzane dzisiaj nieustannie, wszędzie i przez wszystkich. Hasła wzniosłe, ale to nie wystarcza. Hasło, które nie wcieli się w czyn, pozostaje choćby pięknem, ale hasłem tylko. Chcąc pracować dla kogoś, chcąc go do dalszej pracy w wytkniętym kierunku pobudzić, trzeba go przedewszystkiem poznać wszechstronnie, jego zdolności, potrzeby i cele. Pytanie, czy ogół nawołujących tylko do pracy nad ludem i rzeczywiście pragnących dla niego pracować, zna ten lud i jego potrzeby? Stanowczo odpowiedzieć musimy — nie, a przynajmniej nie zupełnie. Żaden może z cywilizowanych ludów Europy nie dzieli się na tyle odcieni pod względem umysłowym i materyalnym, jak lud polski, a przyczyn tej różnorodności szukać należy przedewszystkiem w politycznym podziale i wpływach sąsiadów. W tych dniach mieliśmy sposobność poznać bliżej współrodaków z nad Odry i Warty i możemy śmiało to poznanie się określić słowami poety: „Znają się z sobą nie długo — lecz wiele...”

Dziwna rzecz, że ludzie, których codzienną piosenką jest zbliżenie się do ludu, nie skorzystali obecnie ze sposobności. A szkoda wielka... Poznaliby, w jakim kierunku prowadzić należy młodszą brać i z pewnością nie pokusiliby się o odegranie w obec niej roli apostołów w imię niektórych zgubnych idei Zachodu. Lud to zahartowany w odwiecznym boju, lud wysokiej inteligencji, znający swe cele i środki do nich wiodące, umiejący odróżnić złe od dobrego i rzucić kamieniem potępienia w fałszywych proroków.

Przed kilku tygodniami jedno z pism ludowych górnośląskich podniosło myśl urządzenia zbiorowej pielgrzymki do Krakowa. Zawiązał się komitet miejscowy zarządzający wyieczkę i zapowiedział krakowskiemu komitetowi obywatelskiemu, utworzonemu w celu przyjęcia gości, przybycie 300 osób. Charakterystyczne jest, że w ostatniej chwili liczba chętnych zdwoiła się i pokaźny poczet pielgrzymów stanął w dniu Zesłania Ducha Śgo w Trzebini, gdzie go powitali wysłannicy komitetu krakowskiego: Dr. Orłowski, M. S. Grzybowski prezes Czytelni Akademickiej i sekretarz tejże Kazimierz Lubomirski.

Do Krakowa przybyli pielgrzymi dwoma pociągami o godzinie 9 przed południem.

Na dworcu, przy dźwiękach orkiestry miejskiej i chóru Sokołów, w asystencyi akademickiej straży honorowej i oddziału akad. Straży ogniowej ochotniczej powitał gości w imieniu komitetu poseł Dr. Weigel, poczem w takt oboczego krakowiaka ruszył ku miastu pochód we wzorowym utrzymaniu porządku.

Gdy pielgrzymi stanęli w bramie Floryańskiej, gdy przed nimi na czystym niebie zarysowała się potężna sylweta wieży Maryackiej z wiszącą w chmurach królewską koroną, wyrwał im się z głębi piersi okrzyk podziwu, który przeszedł w gromkie „hurra“ na cześć świętego grodu...

Pobyty w Krakowie rozpoczęto od wysłuchania w przybytku Królowej Polski Mszy św. i kazania ks. prof. Chotkowskiego. Ks. Chotkowski mówił na temat: „I zdumiewali się wszyscy i dziwowali, mówiąc jedni do drugich: A jakoż my od nich słyśmy każdy z nas swój własny język, w którymśmy się urodzili?“ Dzieje Ap. II. 8. „Duch św. dał Apostołom dar języków, aby każdego w jego rodzimej mowie nauczać mogli. Duch św. tak chce, aby wiara rodzimem słowem wpajała się w serca — od ludu zależy utrzymanie ojczyźnej wiary i mowy...“

Po nabożeństwie pochód ruszył do budynku magistratu, gdzie w imieniu Krakowa powitał gości prezydent dr. Szlachetowski, za co podziękował Dr. Napieralski, redaktor „Katolika.“

Piękny był widok kilkuset osób, zasiadających do wspólnej uczty, która nietylko była ucztą w zwyczajnem słowa znaczeniu, ale także prawdziwą ucztą duchową. P. Ksawery Konopka serdecznie, jak zwykle, wznosił toast na cześć gości, w imieniu młodzieży akad. przemówił prezes Czytelni akad. M. S. Grzybowski, a Ks. Ambroży Federowicz, przeor OO. Paulinów przemową zakończoną dawnem a nigdy nie starzejącem się „Kochajmy się“ wzbudził długo trwające oklaski i okrzyki. W imieniu gości odpowiadali: redaktor Dr. Napieralski i p. Erazm Parczewski, mecenas z Kalisza, a za serdeczne przyjęcie dziękował rolnik z pod Bytomia. Treści przemówień nie przytaczamy, ze względu na szczupłe ramy sprawozdania.

W czasie uczty grała narodowe pieśni orkiestra miejska, której chóralnymi śpiewami odpowiadali poczciwi pielgrzymi.

Zauważyliśmy, że wśród nich nie obdarzeni słuchem muzycznym a nawet głosem, do wyjątków należą. Ze gospodarności, wytrwałości, trzeźwości i innych pięknych cech, wyróżniających ich tak bardzo od wieśniaków galicyjskich, nauczyli się od swych odwiecznych wrogów, sami to przyznają; kto wie, czy i tej pięknej zdolności nie zawdzięczają sąsiedztwu i wpływowi Niemców. A mają pieśni wiele i pięknych. Gdyby nie rozmiar sprawozdania, przytoczyłbym je chętnie w całości, bo warto je poznać, bo płyną z duszy tych dzielnych ludzi, bo są zwierciadłem ich serca.

Dla nich

»Śpiew polski wdzięcznie brzmi,
Milej od dźwięku grzmotu,
A Polacy to junacy
I do szklanki i do pracy,
Wolni od przewrotu.«

Ten śpiew, ten

»wśród zniszczeń silny pień
naszej polskiej mowy«,

taką mocą ich napawa, że ufni w siebie śpiewają:

„Niechaj bije grom po gromie,
My wytrwamy na wyłomie
Aż do dnia zbawienia!«

»Pędzą jak na skrzydłach lata,
 Giną jak w odmętach wody,
 Z nimi upadają świata
 Państwa — ale nie narody,
 W których sercach nie wygasło
 Ulubione ojców hasło:

Kochajmy się!«

Podniosłą była chwila, kiedy wśród przemówienia ks. kanonika Pelczara od trumny Biskupa-Męczennika na Wawelu, na wezwanie kaznodziei do wytrwania w wierze ojców w porywających słowach wygłoszone, lud głośno ślubował stać wiecznie przy wierze i mowie ojców. Świątynię królewską z grobami i skarbcem zwiedzili pielgrzymi szczegółowo, a objaśnień w przystępnych wyrazach udzielali pp.: dr. St. Tomkowicz, prof. J. Miklaszewski i dyr. Wł. Łuszczkiewicz.

Po zwiedzeniu kościołów Ks. Paulinów i Dominikanów, zgromadzili się pielgrzymi licznie na przedstawieniu „Kościuszki pod Racławicami.“ Opuścili teatr oczarowani cudownym wspomnieniem z niedalekiej przeszłości, o której, jak sami nazajutrz opowiadali, śnili w nocy, a usypiał ich dźwięczący w uchu śpiew kosynierów: „Oj nie traćwa nadziei!...“

Wczesnym rankiem w Poniedziałek Zielonych Świąt opuścili nasze miasto goście, przeważnie górnicy, aby zwiedzić żupy solne w Wieliczce.

Miłą niespodziankę zgotował im Bierzanów. Na dworcu kolei oczekiwali ich miejscowi wieśniacy w barwnych ludowych strojach, wójt gminy, Weisło, powitał treściwem przemówieniem, a chór włościański dziarskim „Krakowiakiem.“ Rozrzewnieni pielgrzymi wznosili gromkie okrzyki dziękczynne. Jeden z gości, rolnik, zachwycony śpiewem zawołał: „W tych słowach jest nasza przyszłość!“ a inny dodał: „A oni (Niemcy) mówią, że Polacy nic nie potrafią!“

Na dworcu kolejowym w Wieliczce pociąg wiozący drogich gości powitała deputacya miasta i muzyka salinarna, a panie wielickie obrzuciły kwiatami...

Z poważną myślą i tą dziwną grozą, jaka przejmuje na widok rzeczy prawdziwie wielkich, schodzili pielgrzymi w świat

bezsłoneczny. Wielokrotnie porównywano żupy wielkie z Dantejskim piekłem i jestto rzeczywiście jedyne porównanie, charakteryzujące te podziemia. A jednak są chwile, w których to porównanie nie jest odpowiednie...

Kto miał szczęście w gronie pełnych wiary i mocy współrodaków z nad Odry i Warty wejść w podziemia, kto słyszał z każdym krokiem w głąb wyraźniej do ucha dolatujące i wpijające się w serce smętne tony organu z solnej kaplicy, kto widział tam kapłana wznoszącego w górę Sakrament i chyłące się przed nim kornie, butne w walce z śmiertelnym wrogiem czoła — ten nie mógł tam widzieć otchłani z napisem rozpaczy: „rzucajcie wszelką nadzieję wchodzący!...“ Ja tam widziałem katakomby starego Rzymu, słyszałem głos Irydiona: Nie — Ty nie umarłaś!

Nie „morituri“ śpiewali potężny chorał, który wieszał się po sklepieniach pustych komór i płynął ciemnymi, solnymi ulicami.

»Znasz ty tę ziemię, co z swych kruszców słygnie,
Gdzie marny kruszec w obce ręce płynie,
Gdzie ludek w sercu klejnot swój ukrywa,
By poń nie sięgła żadna ręka chciwa?
Boć w tej tu ziemi skarb jest nieprzebrany...
To ma ojczyzna, to mój Śląsk kochany!
Śląsku kochany, kraju ulubiony...

.
Wzgardę — miłością zniweczą twe syny,
Kochając ciebie nad inne krainy,
Boć w tej tu ziemi skarb jest nieprzebrany,
To ma Ojczyzna, to mój Śląsk kochany!...

Tak nie śpiewają „morituri“...

Wróciwszy do Krakowa, po wspólnej uczcie, pospieszyli pielgrzymi do Muzeum Narodowego, gdzie obejrżeli „Kościuszkę pod Racławicami“, „Hołd Pruski“, „Świeczniki chrześcijaństwa“ i „Lituanie“. Szczególnie ostatnia głębokie na nich wywarła wrażenie, dzięki stósownemu oświetleniu, w jakim oglądali ją po objaśnieniach udzielonych przez nauczyciela p. Parczyńskiego

Z przed obrazu przedstawiającego bohatera z pod Racławic, tłumnie ruszyli na jego mogiłę, a pochodowi przewo-

dniczyła niezmordowana w uprzyjemnianiu gościom pobytu w Krakowie orkiestra miejska. Prof. dr. A. Sokołowski opowiedział pilnie słuchającym pielgrzymom działalność i znaczenie Kościuszki, a p. Ignacy Żółtowski rozdał dziełka ludowe i śpiewniki polskie.

Goście zachwycali się wspaniałym widokiem, jaki się z mogiły roztaczał. Bo też dzień był pogodny, a zachodzące słońce cudnie złociło las wieżyc nad Krakowem, przeglądało się w zwierciedle Wisły i rozsypywało się tysiącem blasków na białych śniegach, wyraźnie w dali widniejących szczytów tatrzańskich. „Ślicznie tu“ mówili — „i mało godzinę ztąd patrzeć, ale my na błogosławieństwo, nie ono na nas czekać powinno...“

Błogosławieństwo udzielone pielgrzymom przez księcia biskupa, było ostatnim i najwspanialszym punktem oznaczonego programu. Otoczeni nieprzyjaznym polskości duchowieństwem, nie zawsze słowo Boże w ojczystym języku słyszeć mogący, uszczęśliwieni byli pięknym przemówieniem ks. biskupa, który w otoczeniu kleru i w pontyfikalnym ubiorze wystąpił.

Nie trzeba być gorliwym katolikiem na to, aby odczuć olbrzymią potęgę chwili, kiedy wyrwany z głębi duszy ludu wspaniała hymn „Święty Boże, święty mocny“ gromem w górę uderzy, echem rozbije się po sklepiach świątyni, a cichą, rzewną wiarą zabłąka się w sercach wiernych — skąd nie łatwo uleci... W taką chwilę łąza błysnie w oku i przez tę chwilę nie jest się na ziemi...

Długo przed pałacem biskupim rozlegały się pożegnalne okrzyki, które zniewoliły księcia biskupa do pojawienia się w oknie i powtórnego przemówienia do pielgrzymów. Zakończył ks. biskup wezwaniem licznie zgromadzonej publiczności do okrzyku na cześć przybyszów. „Dzielni Krakowiacy! — niech żyją Ślązacy i Wielkopolanie!“ zawołał i cofnął się, a cześć pielgrzymów podążyła na dworzec kolei, aby opuścić święte miasto, chociaż — jak sami zapewniali — nie na długo...

Pozostali przepędzili wieczór na festynie w ogrodzie Strzeleckim. Widzieliśmy tam redaktora „Nowin Raciborskich“ p. Koraczewskiego, wydawcę tegoż pisma p. Ignacego Rostka,

redaktorów „Katolika“ pp. Napieralskiego i Maćkowskiego z Bytomia, Dra Józefa Rostka z żoną i kilku akademików z Wrocławia.

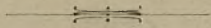
Mili goście opuścili Kraków nazajutrz rano, żegnani serdecznie przez komitet krakowski z Dr. Weiglem na czele.

Wrażenia, jakie pielgrzymi od nas wywieźli i jakie pozostawili, nie będę się kusił opisywać...

Da się ono skreślić jedynie słowami pieśni, która żegnała odjeżdżających, która im towarzyszyła do strzech rodzinnych, która długo usypiać będzie ich dzieci i wnuki:

„Jeszcze nie zginęła!...“

A. Rozwadowski.



REALIZM i NATURALIZM

w literaturze i sztuce.

(A. David — Sauvageot: *Le réalisme et le naturalisme dans la littérature et dans l'art. Paris, Calmann Lévy, 1889.*)

II.

Starożytność pogańska.

A) Grecya.

Naturalizm. — Kopiowanie natury li dla tego, by wierny jej stworzyć portret, musiało być dla pierwotnych ludzi wcale miłą i pociągającą zabawką. Dowodem tego zachowane płasko-rzeźby Assyrii, wykopaliska w Mykenach i — co prawda — rzadkie zabytki początkowej sztuki greckiej np. Herakles luk napinający. Skłonność do dokładności w reprodukeyi świata zewnętrznego i materji znajdujemy też u poetów t. zw. cyklicznych, u liryków ze szkoły Simonidesa i u pierwszych komików sycylijskich. Pierwsi lubują się w opisach, drudzy, tracąc z oczu wzniosłe

dażenia ludzkości, opiewane przez Pindara, toną w uciechach powszedniego życia, komedia wreszcie sycylijska skrzętnie notuje najbanalniejsze szczegóły życia ludowego bez jakiegokolwiek okrasy.

W czasach tryumfu idealizmu — Fidiassowskiego w sztuce Sofoklesowego w poezji — „naturalizm“ na drugi plan schodzi, choć nie brak mu zwolenników. Ale niebawem bo już w IV. wieku dążność naturalistyczna znów bierze górę, a stoi ona w związku z przewrotem, który filozofią pchnął na nowe tory, zmuszając ją do wyrzeczenia się metafizycznych dociekań, a oparcia się na faktach i doświadczeniu. Wprawdzie nie wyrzekła się sztuka za czasów Skopasa uprawiania piękna, ale ograniczyła się na odtwarzaniu przedmiotów takimi, jakimi je zmysły znajdują w przypadkowych codziennych zetknięciach. Cóż z tego wynikło? Oto brano za przedmiot sztuki sceny z życia współczesnego, (prw. dzieła Lysipposa, zwłaszcza Atletę w łaźni) a i wtedy duchową, że się tak wyrażę — stronę przedmiotu danego podporządkowano mało znaczącym wymaganiom plastyki. Praksyteles z umysłu, zdaje się, stworzył Afrodytę w klęczącej podstawie, by mieć sposobność do modelowania fałdów i nabrzmień ściśniętego ciała. W zachwalanej zaś grupie Laokoonu twarz ojca wyraża tylko ból fizyczny; ani mowy tam o jakimś bólu moralnym na widok mąk dwóch synów.

Na sto lat przed Chrystusem urywa się znów wątek, naśladownictwo ścisłe ustaje — ale tylko pozornie, bo ostatecznie powróciła doń rzeźba grecka pośrednio, naśladowując artystów doryckich.

Analogicznie w poezji odgrzebuując zapomniane wyrażenia, powiększali aleksandryjscy poeci objętość swych dzieł opisami, pełnymi tysiącznych szczegółów o technicznej precyzji. Ten fałszywy archaizm jednak był tylko manierą i służył do połowicznego ukrycia rzeczywistości codziennej ich czasów. Niema nie realniejszego nad jego krajobrazy i pasterzy, a jakże prawdziwą jest scena domowa, godna pędzla flamandzkiego mistrza, stanowiąca treść „Syrakuzanek“ (siel. XV). Apollonios, przekonany o ścisłej łączności ducha z ciałem, bezpośrednią analizę strony psychicznej przenosi — jakby jaki realista XIX. wieku — na mowę, gesty, postać, przez co osoby i obrazy przezeń kreślone, zyskują na pla-

stycie (np. Medea, opuszczona przez Jazona). Ale też osobom jego, działającym li pod wpływem zmysłów i bodźców nerwowych. Brak czegoś — a tém czemś jest dusza. Brak ten częsty u Aleksandrejczyków, nieraz znajdziemy u tych, którzy naśladową przyrodę tylko dla przyjemności i zabawy.

Realizm (dydaktyczny). Do jego zwolenników należą artyści i poeci, kopiujący naturę z pewnymi intencjami obcymi sztuce. Sztuka tu jest środkiem w ręku religii (Egipt), lub moralności i polityki (Grecya). Praktyczny Hesiodos pozostawił w swych „pracach i dniach“ podręcznik dobrego tonu dla Greków (prw. koniec tego poematu). Z doświadczenia też czerpali swe rady i sentencye gnomicy.

Polityka zaś była celem poezyi tak za Solona, jak za Aristofanesa. Wszak Solon w formę elegii ubierał swe rady dla Ateńczyków: nie tak trzeźwym, jak poetyczniejszym jest Aristofanes, wznoszący się na skrzydłach swój fantazyi w najwyższe nieraz dziedziny. Może też dlatego czuł A. urazę do Sokratesa, który w swych rozmowach kształcąc młodzież umysłowo, tłumił w niej śmielsze wyobraźni porywy. Zasiw S. się przyjął — Eurypides sprowadzając sztuką dramatyczną z dziedziny ideałów do rzeczywistości, przejął metodę nauczyciela Platona. Liczne ustępy „Żab“ Aristofanesa dowodzą, że dramaty E...a mają cel dydaktyczny. „Wychowują moich widzów“ sam powiada (prw. Żaby w. 830—1109). Gdyby choć zawsze pozostał był wiernym tej zasadzie! Niestety będąc jednym z tych umysłów chwiejnych i toczących z sobą wieczną walkę, które w każdej epoce przejściowej znajdujemy, nieraz szedł za hasłem „sztuka dla sztuki“ i był tylko naturalistą. Bo też ten ostatni kierunek najbardziej odpowiada duchowi Greka, który stracił z oczu ideał; Grek jest zawsze przede wszystkim — artystą.

B) Włochy.

Naturalizm. Praktyczny Rzymianin przeciwnie przenosi akcyą, pracę czy to dla korzyści państwa, czy swej własnej nad szlachetne próżnowanie tj. niezyskowe sztuki. Kiedy wreszcie

naród ten przyszedł do ich poznania, bierze Greków za nauczycieli: ale nie trzeba myśleć, że Rz. bezwzględnie naśladowali sztukę grecką, owszem pożyczają oni od swych mistrzów to tylko, co odpowiada ich przyrodzeniu: a więc im więcej jakiś wzór grecki zbliża się do rzeczywistości codziennej, tém skwapliwiej go rzymski sztukmistrz naśladowuje. Toż samo rozumie się o piśmiennictwie. Jak więc u Gr. śledziliśmy dwa kierunki w ich pracy umysłowej, tak i u Rz. je odnajdujemy. Jeśli pytamy o naturalizm, staje nam mimowoli przed oczyma Plautus, nieporównanie kreślący obraz zwyczajów i obyczajów współczesnego sobie „plebsu“; Aleksandryjczykom odpowiadają w Rzymie „poetae docti“: Catullus, Propertius, Ovidius, Theokritosa Sielankom nie ustępuje znakomicie skreślone „Moretum“.

Naturalistyczną jest też rzeźba cesarstwa; nie zamyka się ona w ciasnych granicach konwencyonalizmu, przeciwnie, tworzy wierne portrety danych postaci, nie pochlebiając nikomu.

Było to wówczas smakiem publiczności i modą, której zawdzięczamy wierny, choć otyłością wstrętny wizerunek Nerona. Tak więc i tyran ten nie zdołał przełamać ówczesnych reguł sztuki! — Nie zdołali też najlepsi pisarze wieku tego zerwać z tym smakiem. Dość przeczytać list 6 ks. III. Pliniusza młodszego, w którym szczęśliwym nad wszelki wyraz się mieni, że udało mu się nabyć posążek starca, realistycznie wykonany.

Ale jak zawsze bywa, gdy dążenia do bezwzględnego naśladowania codziennej rzeczywistości nie mają jakiejś głębszej filozoficznej podstawy, tak i tu się stało. Pisarze — fachowi, przesadzili w dziełach (prw. Sytyricon Petroniusa); lud — niefachowy, w cyrku, gdzie imitacje wojen lądowych i morskich niebawem zastąpiły walki gladiatorów i rzeź bezbronnych ofiar.

Realizm. Zanim jednak przyszło do tak smutnych scen, nastąpiło to, co po wszystkie czasy się powtarza, ilekroć duch narodu wprawdzie się psuje, ale jeszcze nie przesiąkł zgnilizną moralną. U Żydów prorocy, u Rzymian satyrycy gromią ziomków. A długi ich szereg nam tylko częściowo znany. Satyrą tchną często komedye Terentiusa, Lucylius jej się zupełnie poświęcił.

Ale dążność dydaktyczna nie zanika u Rzymian, nawet w czasie rozkwitu ich piśmiennictwa, a dziwić się temu nikt nie

może, kto sobie przypomni, że Rzymianie nie uważali sztuki za rozrywkę, ale chcieli ją mieć narzędziem do rozszerzania jakiejś wielkiej myśli itp. Najoryginalniejsi poeci rzymscy: Lucretius, Vergilius, Horatius, Lucanus, Persius i Iuvenalis dzielą to zapatrywanie. Ale też w ich dziełach dążność ta dydaktyczna — obyczajowa — tak jest wygórowaną, że w obec niej realizm sam schodzi na plan drugi i rzeczywistość codziennego życia małe znajduje u nich uwzględnienie.

III.

Wiek średni.

Średniowieczna sztuka jest na wskrós chrześcijańską, chrześcijaństwo bowiem nadało jej formę definitywną i tendencję wyższą. Nie można jednak zaprzeczać wpływu innych także czynników na jej charakter, a jeśli ich szczegółowo wykazać nie zdołamy, to przyczyną tego ów chaos wędrówek, w którym krzyżują się i miesza najrozmaitsze elementy, kulty, legendy, filozofie, młodego barbarzyństwa i starych cywilizacyj tak, że dopiero z wiekiem 13-tym, kiedy już literatura i sztuka się ukształtowały, i trwalsze przybrały kształty, możemy je naukowo rozpatrywać.

Barbarzyńcy północni mimo, że tak w instytucjach, jak i pod wielu innymi względami zapożyczali się u Rzymian (i to w daleko wyższym stopniu niż przypuszczano) nie pozwolili temu wpływowi wnikać aż do wnętrza swego ducha. A duch ten w niejednym sprzeciwiał się prawdziwemu pojęciu sztuki. Albowiem wskutek wrodzonej grubości nie odczuwali oni delikatnych odcieni w językach i sztuce klasycznej, nie lubili abstrakcyjnej analizy, gardzą prawidłami gramatyków rzymskich, nie znają sekretów starożytnego malarstwa, rzeźby i architektury. Tak powstaje owa *lingua vulgaris* — romańszczyzna, a sztuce ubywa nie jeden ważny środek do wywarcia potężnego wrażenia. Stosownie do smaku ich paleta w jaskrawe zaopatruje się barwy, które mają pokryć brak planu i wyraźnych kontur — jednym słowem nie posiadają poczucia piękna plastycznego.

Tak więc narody, występujące w wiekach średnich na widownię dziejową, czy w skutek wychowania, czyto przez dziedziczne popędy czy wreszcie przez wrodzone skłonności musiały być dość obojętnymi na formę estetyczną.

Ale obojętność ta niebawem przeszła w systematyczną pogardę, a to pod wpływem religii, która złączyła wszystkie ludy, tak barbarzyńskie, jak cywilizowane.

Jak to się stało? Oto wedle religii tej szczęśliwość życia przyszedłego zależy od świątobliwości życia doczesnego, tu zaś od przestrzegania prawideł moralnych, które znów nie są same w sobie tak surowe, jak przez to, że zależą od dogmatu, głoszącego świat cały zepsutym. Cel życia tu jasny, — regułą znać przykazania, wypełniać je treścią życia. W obec tego oddawać się rozrywkom, radości, a nawet smutkowi grzechem. Dlatego w czasach pierwszych chrześcijaństwa, czasach walki z poganizmem sztuka była potępioną, bo zaprzatając umysł człowieka chwilowymi rozkoszami, odwodziła go od prawdziwego celu. Ale nie wszyscy nawet w owych czasach byli tak ślepyimi fanatykami — owszem papież sami potępiłi podobne zdania i wzięli sztukę w obronę, słusznie uważając, że może ona oddać większą przysługę kościołowi, niż jej zatrać.

Posługiwał się nią też kościół w dwojaki sposób stosownie do tego, który z dwóch oryginalnych jego kierunków brał górę. Kierunki te były: uczony i refleksyjny z jednej, popularny i instynktowny z drugiej strony.

Za czasów Konstantyna oba kierunki idą obok siebie równolegle. W dalszym jednak ciągu, gdy się kościół organizuje i rozszerza, stara się głównie o narzucenie swych dogmatów i praktyk ludom. Wtedy też w obronie sztuki sypią się tylko teoretyczne argumenty, ona sama jest pod kuratelą kościoła, który z niej czyni symboliczny i konwencyonalny język chrześcijaństwa. Ale nastaje kierunek popularny — gdy się już dogmaty przyjęły, zaczyna się cywilizacja żywa i silna, która szczytu dosięga w 13 wieku. Sztuka nie może pozostawać nadal w oddaleniu od ludu, jak pierwej, przeciwnie wchodzi z nim w najściślejszy związek; z ludu wychodzą oryginalni pisarze i dla ludu piszą. Jeśli trubadurowie zwykle pochodzili z herbownych, to *trouvers* i *jongleurs*

prawie zawsze są dziećmi ludu równie, jak aktorzy. Łączność ta z stanów wywołuje z biegiem czasu zmianę smaku u publiczności, a inspiracyj u artystów i pisarzy. Po peryodzie hieratycznym następuje okres realistyczny, w którym sztuka znów, jak w Egipcie i początkowo w Grecyi, zadowala się wiernem reprodukowaniem świata zewnętrznego. Mimo to pozostaje jeszcze długo dydaktyczną i oddaje większe nawet, niż przedtem usługi kościołowi.

A kościół? czy mógł być zadowolonym z kierunku realistycznego? Odpowiedź na to: jeśli w 13 w. mogły go zaniepokoić objawy nowego zwrotu w sztuce, która zapaliła się do pięknych barw i form (przez co myśl człowieka odwodząc od Stwórcy, kierowała ku jego znikomym tworom) to musiał być zadowolonym, gdy widział: że artysta obojętny na piękno dla piękna odtwarza formy, jakie mu się narzucają w życiu powszednim, nędznem, pospolitem, gdyż to tem bardziej zwracało uwagę na dualizm naszej istoty, upadek człowieka i nappełniało umysł tęsknotą za czemś wyższem.

Tak więc realizm średniowieczny jest bez porównania wyższym od dzisiejszego szlachetnością pobudek i dążeń. Jest bowiem środkiem do podniesienia religijności; ale — przyznać też trzeba, nie zawsze nim był. Jak w innych epokach, tak i wówczas bywało, że lubiono naśladownictwo natury dla jego uroku, a nie dla użyteczności. To nas prowadzi do odróżnienia równie w wiekach średnich, jak to uczyniliśmy w starożytności, owych z kierunków: realizmu (dydaktycznego) i naturalizmu.

Realizm (dydaktyczny). W 13 w. brakło dzieł drukowanych, któreby rozszerzały naukę katolickiej religii, zadanie to przypadło w udziale sztukom pięknym i muzyka harmonią swą działała na masy: malarstwo, rzeźba i poezya realizmem, z jakim sceny z życia świętych, lub w przypowieściach Chrystusowych opisane, przenoszono do współczesnych sobie stosunków, przykuwały oczy i uwagę tłumów, wywołując niezwykłe wrażenie.

Realizm to naiwny i prymitywny, każe on św. Pawłowi głosić pochwałę uniwersytetu paryskiego, a Wandalom dźwigać strzelby i serpentyny (*Vie de saint Didier*). Obca mu wierność historyczna, wymagana przez dzisiejszych realistów, owszem terazniejszość przenosi on żywcem w przeszłość. To też dzięki jemu,

gdy się czyta owe *jeux, miracles, vies, mystères*, lub przypatruje katedrze gotyckiej, staje przed oczyma społeczeństwo XIV i XV w. tak wyraźnie, jak go żaden historyk opisać nie zdoła. Ale oprócz dogmatu był średniowieczny realizm równocześnie sługą moralności chrześcijańskiej i światowej.

Przykładem pierwszego kierunku (t. j. nauki moralności chrześc.) są *mysterya* i poezye Villona, drugiego słynny *Roman de la Rose*, który w pierwszej części jest *brewiarzem miłości*, *brewiarzem nauki* i *filozofii* w drugiej.

Znajdujemy też początki romansu wychowawczego, jako to: *La Salle'a Hystoyre et plaisante cronique du petit Jehan de Saintré*, choć nie w dydaktyczności leży punkt ciężkości tego dzieła i pisarza.

Naturalizm. Tylko człowiek może być przedmiotem realizmu (dydaktycznego), o wiele swobodniejszym natomiast jest naturalizm, który i otaczającym człowieka światem się interesuje. W dziełach rzeźbiarzy 13-go w. jako ozdoby posągów religijnych spotyka się zamiast konwencyonalnej flory rzymskiej rośliny ówczesnym i dzisiejszym ludziom znane. Znać też pewne zamiłowanie do natury wiejskiej jako tej, która jedynie jest sama sobą, ale zdaje się, że jestto raczej niewyraźne przecucie odrodzenia, które także jest powrotem do natury, aniżeli wynik systemu, a zdanie to popiera okoliczność, że ani poezya, ani sztuka średniowieczna nie odznacza się szczególną znajomością opiewanej lub reprodukowanej przez nie natury, owszem ogranicza się na ogólnikach, jak zielone łąki, przeźrocyste strumyki, pospolite krajobrazy przy lazurówem niebie i wodotryskach.

Prawdziwego naturalizmu ówczesnego szukać należy w skreśleniu obyczajów i zwyczajów, uczuć i charakterów. Te więc punkty przejdziemy

Z upadkiem powagi cesarskiej, a wzmożeniem się potęgi wasalów i *epopea* zstąpiła z wyżyny ideału, na której długi czas się utrzymywała. Nie jestto już *epopea* narodowa, tylko prowincjonalna, a w dodatku nosząca na sobie wszystkie ujemne cechy systemu feudalnego. Znajdziesz w niej akty siły nadzwyczajnej, przemocy i zemsty, brutalności względem słabszych kobiet, *rabunki* i *łotrstwa*. Tak było do w. 13-tego, w którym miejsce

epopei feudalnej zajmuje poezya i sztuka ludowa. Powstają poematy heroi-komiczne, parodye, bajki, farsy, piosnki, w których lud daje folgę swemu uczuciu i wyraz swej wesołości.

Zrazu niewyraźnie, ale z czasem coraz wybitniej przeziera z żartów scenicznych opór przeciw narzuconym dogmatom i dążność krytyczna, co sprowadza sekularyzacją sztuki. Malarstwo i rzeźba zapominają o zadaniu swém wyznaczonem im przez kościół. budowania umysłów — architektura choć przestrzega form gotyckich. traci pojęcie ich znaczenia — w bajkach znajdujemy co prawda, sceny z życia świetnie podchwyczone, ale nad wszelki wyraz niemoralne, a misterya obok scen z życia Świętych i M. Boskiej bez skrupułu grupują sceny skandaliczne, które jednak tę mają zaletę, że nam pozwalają głębiej zajrzeć w domowe życie ówczesnego mieszczaństwa. Najlepiej wszakże można poznać świat ówczesny z komedyj, romansów i miniatur 15. w. Fouquet za przedmiot swych miniatur, w których jest mistrzem, bierze drobne zajęcia gospodarskie, La Salle w wyżej wspomnianym romansie opisuje świetnie zwyczaje swego wieku.

Tenże romansopisarz może uchodzić za protoplastę naturalizmu psychologicznego, który zasada się na wiernem i szczegółowem odtwarzaniu uczuć i charakterów wchodzących w grę osób. W jego też bohaterze, Janie de Saintré, odnaleźć możemy człowieka 15. wieku. Nie jestto już rycerz łamiący wszelkie przeszkody, szlachetny pod każdym względem, owszem trudności omija, brutalnym jest i nie waha się zbezczęścić swej niegdyś kochanki. Jak więc widzimy z tego szkicu, tryumf tych 2 kierunków zaznacza upadek i poniżenie sztuk i natchnienia poetycznego, które wyniknęły ze ślepego naśladowania natury.

Znając już przedmiot sztuki realistycznej w 19. w. musimy zapytać: jak go obrabia; bo chociaż sztuka ta jest za naiwną, żeby jej można imputować jakiś głęboko obmyślany plan lub wypracowany detailicznie system, gdzie tylko jest nieświadomość i bezsilność, to jednak zważywszy, że i najpierwotniejsza sztuka ma swą estetykę nieświadomą, można się starać oświetlić tę jej stronę choćby z pewnymi zastrzeżeniami.

Co najpierw trzeba zauważyć, to tę okoliczność, że sztuka średniowieczna za „punkt honoru“ niejako stawia sobie kopiowanie

rzeczywistości z możliwą dokładnością; z początku dzieje się to rzadko i źle, z czasem nabiera wyrazistości i dokładności. I tak np. w romansach rycerzy okrągłego stołu geografia poetycka jest jeszcze wielce fantastyczną, ale już w pieśni o Rolandzie, a nie dopiero w feudalnych romansach, topografia jest tak dokładną, że archeologia wskazać może na podstawie niej miejsce akcyi każdego z tych romansów. La Salle najdokładniej opisuje Paryż, licząc dni z kalendarzem niemal w rękę; nieraz suchym staje się opis jego, gdy pocznie szczegółowo wyliczać ubiory, uroczystości i t. d. A w mysteryach? czyliż owe fantastyczne sceny, w których przedstawiają niebo i piekło, nie w tym tylko celu są tak nierzeczywiste, aby dowieść, że są to światy różne od naszego rzeczywistego, który w mysteryach z największą skrupulatnością widzimy zawsze skreślony? Mimo tej fantastyczności jednak stara się reżyser pojęcia te oderwane uprzystępnąć niskiemu ludowi, przedstawiając niebo i raj jako tron lub podwyższenie, a piekło jako paszczę smoka.

Drugie, co można zauważyć w sztuce i literackich płodach śr. w., (a co i w starożytności i w nowszych czasach i zawsze się powtarza, ilekroć sztuka nie uznaje innej reguły prócz konieczności wiernego naśladownictwa) jest brak jednolitości w kompozycji, wynikający ze zbytniego rozplływania się w szczegółach. Czy się przyjrzyysz katedrze gotyckiej, czy przeczytasz mysteryum, czy przerzucisz romans feudalny, romans o róży, lub o lisie, zawsze doznasz tego samego wrażenia: rozmaitość bez środkowego punktu, około którego by się te szczegóły grupowały.

Jakie skutki pociąga za sobą taka technika, nie trudno przewidzieć.

W dramatach religijnych osoby święte z natury rzeczy musiały być eteryczne, wolne od ziemskości, to też nie pozostawiały po sobie śladu w pamięci widzów — ludu, natomiast figury uliczne, typy ludowe pojęte realistycznie musiały ich zajmować i wywoływać śmiech „homeryczny“. To powoduje zaniknięcie delikatniejszego poczucia estetycznego, a co za tem idzie i usunięcie scen podnioslejszych z desek, bo artyści, jak już wyżej mówiliśmy, dla ludu pisząc, z jego smakiem się liczyli. Chcąc zepsutych lub prostych ludzi podniebieniu dogodzić, trzeba potrawę ostrymi za-

prawiąc korzeniami; więc i dramat średniowieczny ugania się za coraz bardziej wzruszającymi efektami, a w śmieszności przechodzi możliwą granicę, staje się płaskim, ba — nawet wstrętnym.

Upadek ten śledzić możemy wybornie w sztuce i literaturze śr. w. W rzeźbie pospolitą są rzeczą najobrzydliwsze zwierzęta: wieprze, osły itp. W literaturze bohaterowie romansów feudalnych są jeszcze jako tako znośni, nieraz rzeczywiście piękni, a silni zawsze, w mysterych widzimy już tylko skrofulicznych, kulawych itp. Takim jest realizm średnich wieków. Jeśli dzisiejsza krytyka realistyczna ogromnej rzeczywiście liczby dzieł jego używa jako argumentu „pro domo sua“, to błąd to nie do przebaczenia. Albowiem jeśli się z dzieł tych wyjmie te, które dziś jeszcze są w stanie zająć i estetyczne wymagania czytelnika zaspokoić, to musimy przyznać, że tymi nielicznymi będą tylko dzieła, owiane idealizmem, przejęte ideą wyższą, jak pieśń w Rolandzie, romans o róży, lub romanse rycerzy okrągłego stołu. Natomiast stopy mysteryów mino całej swej oryginalności pomysłów, są dziś tylko pomnikami literackimi, do których tylko erudyta kiedyś niekiedy zaglądnie na to, by po chwili znów poszły w zapomnienie.

Franciszek Krzeczek.

Pokolenie najmłodsze.

I.

P. Kazimierz Bartoszewicz nakładca wiersza, który niedawno wyszedł w Krakowie pod nieco szumnym tytułem odezwy: „Do starego pokolenia“, w korespondencyi swojej do petersburskiego „Kraju“ wyraził zdziwienie, dlaczego „Przegląd Akademicki“ nie zabrał głosu w sporze, jaki się toczy między autorem wspomnianego wiersza a niejakim p. Guldensternem, twórcą drugiej z rzędu odezwy, tym razem „Do młodego pokolenia“ skierowanej. Zdziwienie swoje motywuje p. Bartoszewicz tćm, że, ponieważ oba utwory zajmują się rozwiązaniem pytania, dlaczego dzisiejsza mło-

dzież polska kroczy „chmurna z pustką w sereach, szyderstwem, goryczą i przesytem“: „Przeglądowi Akademickiemu“ właśnie, jako jedynemu piśmie wydawanemu przez młodzież, wypadłoby do tej dyskusji się wtrącić i mniemanie swoje wypowiedzieć. Czynimy to też dopiero teraz, na wyraźnie do nas skierowane zawezwanie, uważaliśmy bowiem cały ten nowy spór między starymi a młodymi za zupełnie bezprzedmiotowy. Wykazywał on zupełną nieznajomość prądów, uczuć i usposobień dzisiejszej „*génération montante*“, do której sami mamy zaszczyt należeć i nie odznaczał się żadną oryginalniejszą nie przetrwoną już po tysiąc razy myślą; do tego forma zarówno obrony, jak i oskarżenia, wypowiedzianych za nami i przeciwko nam, jest bardzo zwykła, gdziekolwiek nawet bardzo mierna. To wszystko więc służyło nam za wskazówkę, że wiersze szybko utoną w zapomnieniu i że po roku oprócz bibliografa nikt o owej walce na złe rymy nie będzie pamiętał a tembardziej my, którzy już dziś ze zdumieniem czytaliśmy to, co o nas piszą. — Tę nieznajomość nas ze strony autora wiersza „Do starego pokolenia“ tłumaczymy sobie łatwo ustępem, z którego można się dowiedzieć, że ostatnie powstanie zastało autora w kołysce. Miałby więc już teraz lat około trzydzieści: dzieli go zatem od nas okres czasu przynajmniej sześćoletni. Przez te sześć lat zmieniliśmy się bardzo znacznie: możemy zapewnić, że jakkolwiek jest, jakiekolwiek bądź objawiają się, choćby bardzo szkodliwe prądy i zdania, dzisiejsza młodzież nie jest „bez krwi i ciepła, bez żądz i uniesień“, „zaszczytnymi mrzonkami“ pewna jej część goni aż tak, że ta gonitwa sprowadza ją na złe drogi; „junackie rzuty, porywy i szale“ bezustannie objawiają się na zewnątrz.

Zauważono już we Francji, że pokolenie to, które teraz w życie wstępuje, znacznie się różni od wszystkich poprzednich; przynosi z sobą niechęć do filozofii materialistycznej i pozytywnej, i zarówno w sztuce jak w życiu objawia raczej skłonność do mistycyzmu — niż do materializmu. Objaw ten nie jest sporadyczny. Mutatis mutandis bystry obserwator może go dostrzedz i u nas. Zdaje się, że bezpowrotnie minęły te czasy, kiedy pod rozwiniętymi w Warszawie sztandarami „Prawdy“ i „Przeglądu tygodniowego“, na których wypisane było potrójne hasło: samo-

lubność, trzeźwość i filisterstwo, grupowała się cała młodzież i tak zwanym starym mówiła z uśmiechem pogardy: — „Umie-licie umierać za Ojczyznę — wielka rzecz! wielka sztuka! My będziemy dla niej żyć, wystawimy sobie fabryki a jak będziemy mieli co jeść i za co się bawić, szczęście Ojczyzny, którą my właśnie stanowimy, a nie ziemia, jak mylnie dotąd sądzono, nie będzie nic pozostawiało do życzenia“. Dzisiaj rozdzieleni jesteśmy na dwie, nie wiele z sobą wspólnego mające grupy: ale ani my, ani ci, co uważali krakowskie „Ognisko“ za arkę przymierza, do której składali „swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty,; nie podpisałiby się pod owemi niskimi słowami. Czytelnicy nasi wiedzą bardzo dobrze, jak walczyliśmy z „Ogniskiem“: musimy mu jednak oddać sprawiedliwość, że między jego redaktorami i współpracownikami byli ludzie pełni ogromnego zapału, wiary w siebie i w przyszłość, namiętni, zaślepieni reformatorowie, przeciwko którym przekonanie kazało nam występować, bo umniabiliśmy, że na bardzo zgubne, dla narodowej idei drogi schodzili, ale których szanowaliśmy i szanujemy. W porównaniu z nimi nawet my znacznie jesteśmy chłodniejsi; jednym z argumentów właśnie przeciwko nam używanych jest to, że do wielkich planów i olbrzymich myśli jedynie dlatego nie umieliśmy się zapalić, bo jesteśmy duchowymi potomkami owej obmierzłej i dla „Ogniska“ epoki, kiedy materialny dobrobyt uchodził za alfę i omegę wszelkiego politycznego programu, kiedy szyderstwem obrzucano wszelką gorącość uczuć, a jako ostatnie słowo filozofii uznano walkę o byt, przemoc silniejszego nad słabszym. A przecież i nam niech będzie wolno oświadczyć, że nie poczuwamy się do zarzucanych nam win, że czujemy w sobie krew i zapal, które jedynie pragnęlibyśmy na inne niż „Ognisko“ skierować drogi. Nasz związek duchowy z programem pozytywistów warszawskich jest wprawdzie nieco większy niż „Ogniska“, wszelako oprócz tego, iż w pracy organicznej a nie w niebezpiecznych eksperymenciech widzimy zbawienie narodowej przyszłości, prawie już niema innych punktów styecznych.

Bezimienny autor, który młodego pokolenia broni, przytacza cały szereg argumentów, mających usprawiedliwić pozorny chłód, jaki opanowywał młodzież przed niedawnym czasem, i zapewnia,

że mimo to nigdy nie straciła z oczu gwiazdy przewodniej, że o przyszłości Polski zawsze myślała i że jedynie dla niej pracowała. Chciejmy mu wierzyć, jakkolwiek cała jego obrona mogłaby się stosować tylko do tych, którzy rozwijali się wśród stosunków pod zaborem rosyjskim i pruskim. W każdym razie owa nieszczęśliwa trzeźwość nie pozwoliła jej przejąć się gorącej żadną wyższą ideą i dlatego sami nie wiedzieli, jak powolnie osłabiała się w nich to uczucie, które nigdy dosyć gorącym nie jest: miłość Ojczyzny. W istocie wytworzyła się wówczas pustka w sercach, owa gwiazda przewodnia, nie chcemy twierdzić, żeby zupełnie zgasła, ale przynajmniej ściemniła się znacznie. Rzecz prosta, że duch ludzki, party zawsze ku celom wyższym, nie mógł długo utrzymać się w tej atmosferze dusznej, jaką stworzyło przystosowanie wszystkich haseł materialnego pozytywizmu: rwał się do lotu i szukał ujścia w jakimkolwiek kierunku. Jeśli się nie mylimy, chwila obecna jest właśnie chwilą reakcyi, objawiającej się w dwóch kierunkach. Jedna część młodych ludzi, wychowana z początku w zasadach i katechizmie „Prawdy“ i „Przeglądu tygodniowego“, przejęła się nimi tak, że ani się nie spostrzegła, jak one weszły w jej krew i kość. To też teraz, kiedy trzeba było im się z tego wyrwać, kiedy szukali nowych dróg i nowych haseł, umysł ich nie zwrócił się naturalnym pociągiem tam, gdzieby się był zwrócić powinien, lecz z zapalem uczepił się ludzających mrzonek ogólnie ludzkiego szczęścia, poddał się marzycielom pragnącym nagłej i śmiałej reformy dzisiejszych stosunków społecznych. Idea ujmowania się za cierpiącymi i prześladowanymi, idea walki w obronie klas upośledzonych i głodnego proletaryatu porwała ich z sobą na ścieżki nader niebezpieczne, prowadzące do zamętów może jeszcze większych i straszniejszych, kazała im zapomnieć o tem, że są synami kraju nieszczęśliwego, w którym wszyscy razem, bez różnicy socyalnego położenia, prześladowani są zarówno okrutnie, bezlitośnie, haniebnie.

Tak więc wytworzyły się pojęcia „Ogniska“, ztąd wyszły te hasła, przerażające całą naszą społeczność, a grożące rozdarciem i prześladowaniem przez nieprzyjaciół zewnętrznych krajowi, wewnętrzną rewolucją socjalną, któraby go stanowczo dobiła. Pośrednio zatem winą ciąży na owej epoce bezdusznej, która

zatrula w nich poczucie narodowych obowiązków, bezpośrednio jednak nie są oni bynajmniej winni temu, o co ich oskarża p. Guldenstern; żadną miarą nie można im cisnąć w oczy zarzutu, że są bezduszni, samolubni, bez zapału dla swoich idei, bez prawdziwego, namiętnego żaru młodości. Co do nas, znajdowaliśmy się w tem szczęśliwszem położeniu, żeśmy patryotyzm wyssali z mlekiem matki, że pierwiej uczono nas kochać ojczyznę, niżli rodziców, że kazano nam wiecznie o tem pamiętać, co jesteśmy jej winni i co jej musimy poświęcić. Dlatego też jakkolwiek ulegliśmy prądom nowym, nie zdołały one w nas osłabić uczuć, wpajanych w nasz umysł od czasów, do których tylko pamięcią zasięgnąć mogliśmy: to też wówczas, kiedy poczuliśmy chwilę reakcyi, ukazała się przed nami droga prosta, na którą rzuciliśmy się tłumnie. Znaleźliśmy idealną wiarę w przyszłość tej, co nigdy nie zginie i na jej poświęconym ołtarzu chcemy złożyć wszystko, co jesteśmy dać w stanie: jak ów umierający w „Dniu dzisiejszym“, słyszymy naokół siebie głosy i programy owych „przytomnych“, z których jeden jest arystokratą, drugi demokratą, trzeci panslawistą, czwarty komunistą, i głosy te brzmią dla nas obco: pragnęlibyśmy zasłużyć na ową opinię, jaką zyskuje ów umierający z poematu Krasińskiego. „Jeśli jakim znakiem znaczyć go chcecie, zwijcież go Polakiem, bo kochał Polskę oną wiekuiście, ziemsko potężną i anielsko czystą“. Nie chcemy znać różnic stronnicych, małych i śmiesznych, często czysto prowincjonalnych, wierzymy, że da się osiągnąć połączenie wszystkich w jeden zgodny obóz i ku temu czynowi pragnęlibyśmy zwrócić wszystkie swoje siły. Będziemy szczęśliwi, jeżeli nam się to uda, bo będzie to krok bardzo ważny w pochodzie naprzód do wspólnego nam wszystkim celu.

J. K. Ehrenberg.

AKADEMICKI ZJAZD SŁOWIAŃSKI.

W ostatnich dniach ukazała się w Krakowie odezwa, zawiadamiająca lakonicznie, że komitet reprezentacyjny wybrany na wiecu z dnia 2. Czerwca b. r. postanowił „z okazji“ pogrzebu

Adama Mickiewicza urządzić pierwszy zjazd młodzieży polskiej i słowiańskiej, i zawiadamia dalej ta odezwa, że oprócz zwykłych przy zjazdach uroczystości, będą „referaty i przemówienia w sprawach młodzieży słowiańskiej“ i że te uchwały należy naprzód zgłosić do jednego z podpisanych na odezwie kolegów. Po za tem nie.

Dowiedzieliśmy się potem, — z dzienników miejscowych tym razem, — że zjazd nie odbędzie się z powodu zakazu Senatu akademickiego: lepiej by było wprawdzie, żeby komitet reprezentacyjny sua sponte był zjazd odwołał, co z pewnością jako krok rozwagi nie byłoby mu żadnej ujemy z powodu cofnięcia się przyniosło. Faktem jest w każdym razie, że zjazdu nie będzie, pomimo to jednak, ze względu na szczerą chęci urzędzenia go, i ze względu na rozgłos, jaki mu nadały dzienniki niemieckie i rosyjskie, jak „Nowoje Wremia“ lub „Petersburskije Wiedomosti“, uważamy za obowiązek wyjaśnić stanowisko i poglądy nasze na powyższą sprawę.

Przedewszystkiem zastrzedz się musimy, że nie jesteśmy zasadniczymi przeciwnikami zjazdów słowiańskich; jeżeli nie bierzemy za złe strzelcom francuskim wycieczki do Rzymu, cóżby mogło nam szkodzić, gdyby do nas przybyli Czesi, Bułgarzy lub inny naród słowiański: wobec właściwej Słowianom gościnności, szczerze ich przyjęcie byłoby rzeczą zupełnie naturalną. Chodzi jednak o to, aby nie przeceniać znaczenia tych zjazdów, nie nadawać im cech, mających stanowić o naszym narodowym stanowisku, nie robić z odwiedzin kuzynowskich rad familijnych, krępujących i naginających do jednej formy społeczeństwa, nie jednakowym, a nieraz sprzecznym ideom hołdujące. Dla nas Polaków przedewszystkiem idee wszechsłowiańskie są zakazanym owocem tak długo, dopóki iure caduco może, ale faktycznie na czele tego ruchu stoi Rosya, gnębiąca najspokojniej z czystem sumieniem ludy słowiańskie, które miały nieszczęście pod jej opiekę się dostać.

Co do danego jednak zjazdu nie mile uderzyło nas wyrażenie: „z okazji pogrzebu Mickiewicza“. Więc młodzież po to dawała inicjatywę do sprowadzenia zwłok wieszczą, po to wezwiała cały naród do współdziałania, aby znaleźć „okazję“ do palnięcia kilku jaskrawych mówek o wzajemności słowiańskiej, do

wyłoszenia referatów i odczytów, nie z uroczystością wspólnego nie mających? Pogrzeb Mickiewicza powinien być świętem ściśle i jedynie narodowym, hołdem narodu dla największego geniusza poetyckiego, dowodem żywotności ducha narodowego i idei narodowej; wygodnie to wprawdzie przy tym ogniu zatlić ognisko słowiańskie, ale zachodziłaby obawa, aby zbyt obfity dym drugiego jasności pierwszego nie przyćmił. Wiemy, że są tacy, którzy pragną, aby pogrzeb wieszczą nie narodowem, a słowiańskiem był świętem: przypuszczamy, że taki charakter obchodu byłby zatrzymał w lwowskim miejskim Komitecie panów: Wachnianina, Bełaja i Romańczuka, którzy skonstatowawszy, że obchód ma mieć charakter „ani zahalno-ludzkiej ani takóž zahalno-słowiańskiej, ale specjalno polsko-nacyonalnyj” strzepnęli polski pył ze swych ruskich nóg i cofnęli się „z kompromitującego“ Rusinów komitetu, nie pamiętając, że nie dziwili się i za zupełnie naturalne uważali, gdy Polacy brali udział w ruskim święcie Szewcezenki: byłoby to może przyjemnem i słowiańskiemu towarzystwu dobroczynności, nie mniej jednak nie godziłoby się z narodową naszą godnością.

Nie stósowną była myśl zjazdu, szczególnie w tym roku, gdy sfery panslawistyczne marzą o kongresie słowiańskim, o zaprowadzeniu na nim Kirylicy i wspólnego języka słowiańskiego, i gdy sfery te zjazd krakowski mogłyby uważać za rezultat swych agitacyj.

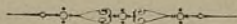
Powiada dalej odezwa, że na zjeździe ogłoszone zostaną referaty i przemówienia w sprawach młodzieży słowiańskiej. Określenie to jest po pierwsze zbyt lakoniczne i podciągnąć tu można wszystko, radzić tu można o czesném, czasie trwania feryi, ale także o kirylicy, wspólnym programie politycznym, wspólnym literackim języku i t. p. Dziwić się należy, jak szanowny komitet mógł przypuszczać, że młodzież polska kupi bez namysłu kota we worku i skwapliwie podąży na zjazd, aby może impertynencyi tam słuchać; a po doświadczeniach z naszymi najbliższymi sąsiadami słowiańskimi mogliśmy i to przypuszczać. Po drugie, nie pojmujemy, co to są za sprawy młodzieży słowiańskiej, o których miałby zjazd radzić. Młodzież tak polska, jak czeska, serbska i t. p. zajmować się winna sprawami swemi, stojącemi w ściśleym

związku z narodem, do jakiego należy, zależnym od położenia, charakteru i celów tego narodu; podejście spraw młodzieży słowiańskiej pod wspólny mianownik równa się chyba podejściu spraw robotniczych pod jeden socjalno-kosmopolityczny sztandar, a na to zgodzić się nie pozwala młodzieży polskiej jej patriotyzm — jej obowiązki względem Ojczyzny.

Do tych refleksyi skłonił nas przedewszystkiem skład komitetu reprezentacyjnego; zbyt oni blisko stoją zgasłego już szczęściem Ogniska, zbyt wielu z pomiędzy nich znamy jako zdeklarowanych jego zwolenników, aby móc spokojnie na sam zamiar zjazdu patrzeć. Nie mielibyśmy żadnej rękojmi, czy na zjeździe tym nie kazaliby nam znowu o „interesach i sympatyach“ radzić, czy nie wywieszonoby tam pokostowanego, czy też naturalnebarwy sztandaru Polski etnograficznej, czy z powodu pogrzebu Mickiewicza nie ogłoszonoby, że Nowogródek i Wilno nie wspólnego z Polską nie mają....

Jeszcze jedno. Odezwa nie nie mówi, w jakimby języku zjazd obradował. Podobno każdy miał mówić w swoim narodowym, i to nas po części uspokajało, nie wieleby się bowiem rozumiano, chyba gdyby w końcu bracia Słowianie zrozpaczeni nową wieżą Babel, zaczęli po niemiecku się porozumiewać.

Maryan S. Grzybowski.



Sprawozdania naukowe i literackie.

Kautsky Karol. Karola Marxa Nauki ekonomiczne (Przekład z niemieckiego). Wydawnictwo słuchaczy szkoły politechnicznej we Lwowie. (Z przedmową K. R. Żywickiego. Lwów, 1890. 8-vo, str. XV, 327, III. i z portretem K. Marxa).

Szanowny Czytelniku! Kiedy byłem jeszcze w gimnazyum, a nie było to tak dawno (czego zataić nie mogę, boć — jak

mówi natchniony tekst którejs z operetek: co fakt, to fakt zaprzeczyć nie da się) kiedy więc byłem jeszcze w gimnazyum, mawiał mi zawsze mój profesor „od polskiego“: wszystko co piszesz, powinno się składać z trzech części: stosowny wstęp, rozwinięcie tematu i właściwe zakończenie. Recepta to rzeczywiście bardzo dobra. pozwól więc Czytelniku, że zacznę moje sprawozdanie od „stosownego“ wstępu.

„Przysłowia są mądrością narodów“ (wstęp to niezbyt nowy, ale dobry) powiedział mędrzec arabski i miał słuszość. Im mądrzejszy naród, tém ma mądrze przysłowia. Grecy byli mądrym narodem, mieli więc mądre przysłowia, przysłowie zaś: „patrz szewcze swego kopyta“ jest grekiem, więc jest mądrym. Dowód logiczny („Barbara“, czy też „Farago“, bo już sobie dobrze nie przypominam) jasny i prosty.

Dlaczego ten właśnie wstęp jest „stosownym“ przy sprawozdaniu z przekładu dzieła ekonomicznego, dokonanego przez techników, pokaże się w dalszym ciągu. Przystępuję bowiem do właściwego tematu.

Stronnictwo socjalno-demokratyczne niemieckie między innymi wydawnictwami podjęło także druk „Biblioteki międzynarodowej“ (Internationale Bibliothek), któraby popularyzowała znajomość najważniejszych zagadnień ekonomicznych i socjologicznych, rozwiązanych ze stanowiska owego stronnictwa. Jako drugi tom tej „Biblioteki“ (w której wydawnictwie — nawiasem mówiąc — wzięli udział najwybitniejsi mężowie stronnictwa, n. p. Bebel) wyszło streszczenie ekonomicznych poglądów Marxa, opracowane przez jednego z jego wielbicieli: Karola Kautsky'ego. To właśnie streszczenie politechnicy lwowscy przełożywszy sami czy też poleciwszy na język polski przełożyć (bo nazwiska tłumacza nie podają) wydrukowali, jako I. tom swego „Wydawnictwa“.

Dzieło napisane w celach stronnicych, dziełem naukowym być nie może. Uczony, tak samo jak i poeta „steht auf einer höheren Warte — als auf den Zinnen der Partei“. Kautsky zaś pisał dzieło swoje nie jako uczony, ale jako członek stronnictwa socjalno-demokratycznego. Dlatego streszczając poglądy Marxa, traktuje nawet jego hipotezy jako pewniki, nie wspominając ani słowem o dowodach strony przeciwnej i przemilczając, że większą

część tych poglądów nauka obaliła, jako jednostronne, bo nie oparte na uwzględnieniu wszystkich stron danego zjawiska ekonomicznego (dość przytoczyć Marxowską teorię wartości). Kautsky pisał swe dzieło w celach agitacyjnych, to też stworzył broszurę socjalistyczną, powtarzającą wiernie, ale nie krytycznie socjalistyczne Credo. Ktokolwiek — bez naukowego przygotowania — chciałby się ztamtąd z teoriami Marxa zapoznać, niech się przygotowuje, że będzie czytał rzecz jednostronną, pisaną apodyktycznie, tak, jakby to, co Marx twierdzi, nie ulegało żadnej wątpliwości, a tylko zła wola i egoizm burżuazyi i szlachty przeszkadzały w przyjęciu nowej ewangelii przez cały świat cywilizowany.

Skonstatowawszy to, w krytykę dzieła wdawać się ani myślimy. Śmiesznem by było, żeby student chciał zabierać głos w sprawach tak zawiłych i tyle już razy roztrząsanych. Zadanie nasze ograniczymy do przejrzenia, jak wypadł przekład i co przynosi przedmowa do tego przekładu, napisana przez p. K. Żywickiego.

A najprzód: przekład wypadł niefortunnie. Tłumaczył książkę ktoś, co ani po niemiecku nie umie, ani po polsku pisać nie potrafi, ani ekonomii nie zna. Stąd popełnia mnóstwo błędów, terminów naukowych jak należy nie oddaje („Gebrauchswerth“ tłumaczy np. użytkowość, podczas gdy w nauce polskiej używany jest wyłącznie termin „wartość użytkowa“ patrz np. Biliński, str. 123) myśl oryginału albo zaciemnia, albo niewolniczo za słowami niemieckimi idąc z pogwałceniem praw języka polskiego oddaje. Przyszły dopełniacz „Barbaryzmów i dziwołagów“ będzie mógł stamtąd ładną kollekeyę zebrać. Sąd nasz o przekładzie jest surowy, ale przeczytawszy książkę rzeczywiście trudno byłoby chwalić. Na dowód przytoczymy pierwszy lepszy ustęp z dzieła, nie chcąc wyrywać odosobnionych zdań, aby nam nie zarzucano, że są tendencyjnie zebrane. Oto np. ustęp na str. 52 — 3, początek rozdziału o sprzedaży i kupnie:

Udajmy się za naszym starym znajomym, krawcem, na targ. Tam pozbywa się on uszytego surduta za 30 marek i kupuje za nie np. beczkę wina. Mamy przed sobą dwie wprost odwrotne metamorfozy; raz przemienia się towar w pieniądź, to znów pieniądź przechodzi w towar. Ten ostatni nie

przedstawiał użytkowości dla swego właściciela, co natomiast czyni końcowy.¹⁾ Użyteczność pierwszego zawierała się w jego charakterze, jako wartości, w jego pochodzeniu z pracy ludzkiej w ogóle, w jego wymienialności²⁾ na inny wytwór pracy ludzkiej w ogóle — na złoto. Użyteczność drugiego — wina, spożywa (się) w jego własnościach fizycznych, więc nie w pochodzeniu od pracy ludzkiej w ogóle, ale od określonego rodzaju tej pracy — uprawy wina.

Przytoczyliśmy umyślnie ten ustęp w całości, bo nie jest ani gorszy, ani lepszy od innych, daje więc dobre pojęcie o przekładzie. Nie wiemy, czy go kto z czytelników bez trudności zrozumiał, co do nas — przyznajemy się w pokorze ducha — że (tak jak i resztę przekładu) zrozumieć mogliśmy zaglądnawszy dopiero do oryginału niemieckiego. Nie będziemy nużyć czytelnika dokładnem wyliczaniem różnych śmieszności tłumaczenia. Pochodzą one, jak to już wyżej wspomnieliśmy, z nieznamomości obu języków i ekonomii, tém bowiem tylko dadzą się wytłómaczyć takie zwroty jak „realność“ (po polsku realność znaczy nieruchomości) na oznaczenie: wirkliche Geldsumme (str. 59), „sfera krążenia“ na: Zirkulationsprocess (str. 66, tak jakby sfera i proces było to samo), „nabywca i sprzedawca przybierają obecnie inną fizjognomię“ (!) w ten sposób tłumaczą politechnicy zwrot niem: „Käufer und Verkäufer erhalten jetzt ein anderes Ansehen“ (str. 67), „interesowe operacye“ ma znaczyć to samo co „geschäftliche Operationen“ (str. 79) itd. itd.³⁾ Przechodząc w ten sposób do końca książkę, możnaby zebrać całe bukiety z kwiatków językowych i nankowych, przebaczy nam jednak czytelnik — jak sądzimy — chętnie, że sobie i jemu tej przyjemności oszczędzimy.

To, cośmy przytoczyli dotąd, wystarczy, aby poprzeć nasz sąd, że przekład wypadł mniej niż niefortunnie, że wzięto się do niego bez poprzednich studyów naukowych i znajomości języka, z którego tłumaczono i w którym tłumaczono, jednym słowem — lekkomyślnie. Umiemy szanować dobre chęci nawet tam, gdzie cel ich tak mało godny pochwały, jak tłumaczenie socjalistycznej

¹⁾ Po niem. Die erstere (Waare) war Nichtgebrauchswerth für ihren Besitzer, die letztere ist Gebrauchswerth. Pominawszy błędne użycie słowa „czynić“ i przymiotnika „końcowy“, musimy zauważyć, że „Besitzer“ to posiadacz, a nie właściciel.

²⁾ Austauschbarkeit!

³⁾ Do lepszych także „kawałków“ należy przetłumaczenie Markowskiego teaminu Vulgärökonomie przez ekonomia wulgarna (sic!!! strona 79) i wulgarni (!) ekonomiści (str. 324).

rozprawy, ale dobre chęci nie wystarczają same nigdzie, ba! zwyczaj jeśli same jedne występują, to szkodzić zwykły. Przekład książki Kautsky'ego jest nowym i smutnym dowodem „skażenia języka i stylu polskiego u naszej młodzieży“.

Oto stawiamy Mickiewiczowi pomniki. sprowadzamy jego zwłoki, urządzamy wiece, delegacye i obchody na jego cześć, a równocześnie obrażamy pamięć tego „mistrza słowa“, gwałcąc mowę i język, z których on robił „pacierz, co płacze, i piorun, co błyska.“ Piszemy po polsku coraz gorzej, nie staramy się o czystość naszej mowy, nie odświeżamy naszego języka w owym „centrum polszczyzny“, którym są jego dzieła. Wszystko co mówimy, zapewnia o głębokiej czi dla wieszczu, wszystko co robimy i piszemy pokazuje, że coraz mniej jego dzieł czytamy, i coraz mniej z nich korzystamy. I gdzież tu konsekwencya, gdzież logika?

Zdawałoby się przecież, że kto chce w polskim języku o ekonomii pisać, powinienby się najprzód uczyć pisać po polsku, powinienby choćby tylko dla obeznania się z nomenklaturą ekonomiczną zaglądać do dzieł Skarbków, Rzewuskich lub Supińskich. Gdzież tam! wychodzą dzieła, których autorowie chcą latać, zanim się nauczyli chodzić, chcą oddawać myśli obce, zanim umieją swoje należycie wyrazić: a wydaje te dzieła młodzież, stawiająca równocześnie pomnik Mickiewiczowi i przygotowująca się do szumnych mów nad jego grobem.

Przepraszam za tę dygressyę, spowodowaną językiem, jakim piszą politechnicy i kończą powracając czemprowadziej do przedmowy, napisanej przez p. K. R. Żywickiego. Pan Żywicki nie kreśli w niej ani zapatrywań dzisiejszej nauki na teorye Marxa, ani nie próbuje objaśnić metody używanej przez tego pisarza, gdyż „zbyt wieleby to miejsca za potrzebowało.“ („Żywickiego to słóweczko, nie moje!“). woli natomiast „w sposób możliwie przedmiotowy“ „skreślić historjozoficzne stanowisko, na którym wyrosły ekonomiczne wywody Karola Marxa.“ Z naszej strony musimy zauważyć, że nam wydawałoby się potrzebniejszą rzeczą przedstawić w przedmowie stanowisko nauki w obec Marxa, niż kreślić „historjozoficzne stanowisko“ jego: możnaby bowiem w ten sposób złagodzić „apodyktyczny“ (jak go sam Kautsky w przed-

mowie swej nazywa, wyd. niem. str. X) ton książki tłómaczonej; możnaby uwydatnić naprzykład, co tacy uczeni jak Knies, Neumann, Böhm, Bawerk i inni myślą o podstawie Marxowskich teorii, tj. o jego nauce, o wartości, lub wykazać, że stanowisko Marxa co do waluty w obec dzisiejszego „bankructwa monometalizmu“, jest po pracach Arndta, Schäfflego, Wagnera i Lexisa (że już pominiemy dawniejszych autorów) co najmniej przestarzałe. Możliwość zresztą wspomnieć, skąd Marx zaczerpnął swoje poglądy, napisać np. coś o Thompsonie, którego wpływ wykazał Menger (Das Recht auf d. v. Arb.). Ale p. K. R. Żywicki pisał z innego stanowiska, nie uznaje bowiem nauki XIX. wieku po za pisarzami socjalistycznymi, czyli jak on ich eufonicznie nazywa, po za „ekonomistami chartyzmu“. Oto jego słowa w tym przedmiocie: „Klasycey angielskiej“ (mowa o szkole ekon. założonej w przeszłym wieku przez Ad. Smitha) „prowadzą swe poszukiwania jeszcze w sposób przedmiotowy. Lecz niebawem występuje do walki klasa robotnicza i już z trzeciego dziesiątka obecnego stolecia, przedmiotowość zostaje porzucona przez urzędową ekonomię, gdyż dawałaby oręż teoretyczny do ręki najmitom. Zamiast nauki poczyną się fałszerstwo. Natomiast tradycyę klasyków podejmują teoretycy stanu czwartego — ekonomiści chartyzmu.“ „Du sprichst ein grosses Wort gelassen aus“, możnaby tu z Göthem powiedzieć o autorze przedmowy! „Fałszerzami“ więc byli i są: Mill, Carey, Rau, Roscher, Beaulieu, Schäffle, fałszerzami i niczem więcej: Wagner, Brentano, Knies, Mengerzy, Cossa, fałszerzami te wielkie imiona francuzkie, włoskie, angielskie i niemieckie, któremi się nasz wiek chlubi i chlubić będzie? Fałszerzami są ci ojcowie nowych szkół ekonomicznych, odkrywcy nowych dróg, wynalazcy metody historycznej i statystycznej w ekonomii, twórcy socjalizmu z katedry lub chrześcijańskiego socjalizmu? Podobny frazes rzucić może tylko ten, kto sam ugrzązł w doktrynie i wyjść z niej nie może, „jako ta koncha, co się w bagnie kryje.“ P. Żywicki z pochwałą godną troskliwością wylicza w przedmowie swoje artykuły dziennikarskie, ale my wątpimy, czy nawet tak wielkich zasług prace dają mu prawo do rzucania anatemu na wszystko, co socjalno-demokratycznego piętna na sobie nie nosi. Podobne zdania, jak wyżej przytoczy-

liśmy, nadając jego przedmowie cechę studencką — w najgorszym tego słowa znaczeniu!

Streszczamy więc krótko nasz sąd o „wydawnictwie politechników.“ Wybrano dzieło stronicze, nie naukowe, nie zdolne do poinformowania czytelnika nie-ekonomisty o doktrynie Marxa, gdyż przedstawiające ją z umysłu nie krytycznie; przekładu dokonano nie umiejętnie i nieudolnie, dodano wreszcie przedmowę, zdradzającą niewytrawność i zarozumiałość jej autora. Niechże się więc politechnicy nie dziwią, jeśli cytujemy przysłowie o owym szewcu. Na zajmowanie się pewną nauką nikt nie ma przywileju, ale kto się jakąkolwiek nauką zajmuje, ten ma pewne obowiązki, a przede wszystkim pracować tylko wedle sił i możliwości. Kto bez poprzedniego przygotowania zabiera się do rzeczy, którym podołać nie może, ten sam się na to naraża, że połamie swoje skrzydła i nie pożytecznego nie zrobi. Jest zarozumiałością brać na siebie ciężar, aby upaść w pół drogi. Jeśli dalsze tomy „Wydawnictwa“ z tém samym szczęściem będą dobierane i tłumaczone, to doprawdy, że szkoda czasu i papieru. *S. Estrelec*

Lucyan z Samosaty: Rybak czyli zmartwychwstali filozofowie z oryginału greckiego przełożył Emil Weidel. Warszawa. Nakład Tłomacza, 1890. (8-vo str. nl. 2, l. 50).

Jużto filologia klasyczna w całym słowa tego znaczeniu, jakie mu nadano za granicą, u nas w Polsce, (a może nawet w całej Słowiańszczyźnie), głębszych korzeni chyba nigdy nie zapuści. Raz tylko — i to w w. XVI., gdy prądy humanistyczne i do naszej przeniknęły ojezyny, można było mieć nadzieję, iż egzotyczny kwiat ten przyjmie się u nas i w owoc dojrzeje. Ale cóż — zmarnotrawiliśmy tę sposobność, jak niejedną inną, nie czas teraz w zawody iść z zagranicą, by tylko na ich drodze kurz zbierać. To też moglibyśmy dać pokój rozprawom o uży-

waniu wyrazów np. *bestia*, *okaj* itp., u klasycznych autorów, a wziąć się do ważniejszego zadania, a raczej obowiązku każdego z naszych filologów. Cel nam wskazała z jednej strony Akademia, rzucając się do wydawnictwa domorodnych łacińskich poetów, z drugiej strony powinniśmy ogółowi dostarczyć wyborowych przekładów greckich i rzymskich pisarzy, by weni wpoić większe uznanie dla dzieł, na których cywilizacya nasza się oparła, niż to bywa dotychczas.

Jeżeli jednak na to drugie pole, łatwiejsze do obrobienia, okiem rzucimy, przyznać musi każdy, że nie wiele tu zdziałano, a i tu większa część pracy (mam tu na myśli liczbę przełożonych autorów) przypadnie na wiek XVI. i XVII.

Weźmy tylko przykład. Oto Lukianos, (nie jak tłumacz nazywa Lucyan) napisał około 50 dzieł, bądźto dyalogów, bądźto krótkich, a tak wybornych *essays*, (prawie wyłącznie prozą) że go niedawna przeszłość Voltaire'em greckim (niektórzy nawet — zdaniem mojem słuszniej. — Rabelais'em) przezwała. Otóż napisał — powtarzam — około 50 dzieł, nie licząc przeszło 30, które mu przypisują, a my ile wydań, ile przekładów pism jego posiadamy? Przebiegnijmy wieki XVI. — aż po dni nasze, a otrzymamy odpowiedź i uzupełnienie przedmowy tłumacza.

W r. 1505 wychodzi w Bononii przekład pisma Lukianos'a: „*Philopseudes sive Apiston*“ — przekład naturalnie łaciński — przez Konstantego Chariti, przypisany znanemu Erazmowi Ciołkowi. Na pozór zdałoby się, że mało nas on obchodzić może i powinien, i tak też zwykle się dzieje, dzieła łacińskie XVI. w. w kąć rzucamy. Odstąpmy od tego zwyczaju w tym wypadku i zajrzyjmy do przedmowy. Tłumacz przedstawivszy trudności przekładu, podaje następującą okoliczność, która go do przekładu skłoniła. „Gdyśmy stosownie do umowy, Leonard Polak „*pamfilerasmus*“ Angelus Cospius i ja, ... czytali wytworne dzieła L. a natrafiliśmy na pewien dyalog jego przepiękny i do śmiechu pobudzający... oni widocznie pragnęli, bym go im po łacinie mógł odczytać... ale nie śmieli głośno tego wypowiedzieć... ze względu na moje liczne zajęcia... Dla ich więc przyjaźni w krótkim czasie przeło-

żyłem to dziełko.“ Jak widzimy z tych słów przekład ten zawdzięcza swój początek po części wpływowi Polaka.¹⁾

W 1531 roku Józef Struś z Poznania wydaje książeczkę, w której obok przekładu „Astrologii“ Lukianosa przez słynnego Erazma z Rotterdamu pomieścił kilkakrotnie od niego większy komentarz do niej i przekład „*Dike fojeenton*“ własnego pióra. Dziełko to, bardzo dobry podręcznik astrologii w XVI. wieku, nosi tytuł: „Luciani Samosatensis, Astrologia, Erasmo Rotterodamo interprete.“ — Josephi Struthii Posnaniensis, in Luciani astrologiam commentariorum libri duo. Luciani declamatio quodam lepidissima Josepho Struthio Posnaniense interprete“ i ma dwie dedykacje do Jana Łaskiego, synowca prymasa, jedną przed komentarzem, a drugą przed przekładem Strusia, datowaną r. 1531. Wyszło z drukarni Macieja Scharfenberga.²⁾

W 15 lat potem (1546) w Gdańsku u Rhodusa wychodzi po łacinie Lukianosa autobiografia „De insomnia seu vitae encomium“, poczem w r. 1578 pojawia się przekład *polSKI* Lukianosa „Kur“ (*Alektrüon*) w Krakowie u Siebeneychera, a w 30 lat po nim, drugi przekład w ojczystym języku „Tymona“ przez J. Danieckiego również w Krakowie, że już pomijam przekład łaciński „Philalethesa“ przez Vegiusa wydany u Unglera w w. XV. — rok nieznan.

Wyżej wspomniany Jan Daniecki przełożył też „*Toxaris e filia*“ i wydał pt.: „Historye“, albo przykłady szczerzej i statecznej miłości sprzysiężonego towarzystwa, wzięte z Lucjana przekładania Jana Danieckiego, którymi się pokazuje, jako żadna najgwałtowniejsza przygoda nie może rozrywać przyjaźni, kto kogo szczerze i prawdziwie miłuje. (następuje sentencja łacińska). W Krakowie u wdowy Sybeneychera Rok. Pańsk. 1910. Jestto rymowany przekład dyalogu prozą pisanego, dedykowany Stanisławowi Gawrońskiemu, podzupkowi krakowskiemu.³⁾

¹⁾ Znajduje się w Bibl. Ossol. we Lwowie, 4-to. 1 kartka nl. i 16 kart znaczących A |||. B |||. C ||.

²⁾ Również przejrzałem w Bibl. Ossol. Format 8-o 54 kart oznaczonych A—Q, z których tylko komentarz obejmuje karty liczb 1—26. Nie wiem dlaczego Estreicher w Bibliogr. robi z tego dziełka dwa.

³⁾ Egz. B. O. 4-o karty od A—J, razem 36. Pisownią tak tego, jak i następnego tytułu zmodernizowałem.

Również wierszem. tym razem jednak już w oryginale wierszowaną „Tragedyą o podagrze“ przełożył ale nie wprost z greckiego, tylko z łacińskiego przekładu Erazma Smida Wittemberczyka ktoś, co nazwisko swe ukrył w następującej zagadce:

Weźmi miasto w Podolu z mocy Krycińskiego
 Czemerysa, weźmi dzień, pomni wyjąć z niego,
 Czwarty szczebel, z sykaniem, gdy się dorwiesz kija,
 Zrozumiesz wiersze głowa wymyśliła czyja.
 Skrzydła mam kiedy chodzę w czarno-białym stroju,
 Domyśl się, kędy jestem — w boju, czy w pokoju.

Jestto Jan Alan Bardziński.

(Bar — dzień — s-ki; Ala — skrzydło?) Tytuł: Tragedya o podagrze, którą po grecku przed przyjściem na świat Pana Chrystusa (!) napisał Lucyan poeta (!). Na łaciński język od Erasma Smida Wittemberczyka wytłumaczone, a z tego na polski, przez tego, którego imię z następujących dorozumiesz się wierszów, przełożona“. Po zagadce „Roku pańskiego:

Tysiąc sześćset ośmdziesiąt, co się pisać godzi,
 Gdy śliczny po Bliźniętach Phoebus się przechodzi.“ ¹⁾

W XVIII. w. możemy wskazać częściowo przekład, a częściowo naśladowanie najlepszego z pism Lukianosa „Rozmowy umarłych“ pióra pisarza tej miary, co Krasicki.

Naśladowaniem też, a nie przekładem, (jak z tytułu wnosi tłumacz) jest wydana w r. 1802 w Warszawie, broszura „Lucyan Greczyn do *polskiej* młodzieży, o krótkiej, łatwej i pewnej drodze osiągnięcia sławy i bogactwa.“ ²⁾

Od tej chwili nieznamy żadnych przekładów polskich Lukianosa (nie mówimy o tych, które mogą się kryć w zapomnianem jakim czasopiśmie). Dopiero p. E. Weidel obdarzył nas w tym roku przekładem dzieła, które w oryginale nosi tytuł: „*Kalievus e anabiountes*“. Jak widzimy „filozofów“ tytuł nie wymienia i w przekładzie niepotrzebnie są dodani. Dodatek ten jednak jest

¹⁾ Egz. B. O. 4-o, kart 6 nl.

²⁾ Egz. B. O. 8-o, str. 39.

charakterystyczny, bo w toku przekładu tłumacz wcale nie jest tak szczodrym, owszem nieraz raczej opuszcza wyrazy, które mu się wydają zbyt liczne, lub następują trudności w przełożeniu. Czy wybór zrobił tłumacz dobry, nie moja rzecz osądzać; co do mnie, (a sądzę, że i publiczności byłby się więcej zasłużył) wolałbym, żeby był zaczął — gdyż miejmy nadzieję, że obecny przekład to tylko pierwsza próba, — od tak pełnej humoru, a przytem głęboko pomyślanej mimo prostej kompozycyi autobiografii Lukianosa „Sen“ — Ale trudno — p. W. innego był zdania: bierzmy, co daje. Eh! Czy też należy brać tak — na ślepo, nie bacząc, co kto daje? Nie. A więc przypatrzmy się podarkowi.

Na 7 niespełna stronach początkowych wypowiada tłumacz „kilka słów o życiu i pismach Lucjana“. Nie możemy od tego wstępu wymagać gruntownych studyów nad pismami autora, szczegółowej biografii itd., w każdym razie po badaniach takich uczonych, jak Fritzsche, Jacobitz, Bernays, Sommerbrodt, a przede wszystkim po niedawno ogłoszonej monografii o Lukianosie p. Croiset'a coś więcej możnaby o nim powiedzieć, nie uciekając się do stereotypowego „zdziwienia“ z powodu braku szczegółów. Są one bowiem dość licznie rozsiane po pismach Lukianosa.

Następnie od str. 9—50 spotykamy ów przekład dialogu, który choć był okolicznościowy, bo spowodowany oburzeniem, jakie wywołało między pseudo-filozofami II-go w. po Chrystusie inne dziełko Lukianosa „Licytacya dusz“, jednak i dla nieobznajomionych z tą ostatnią może być zajmującą lekturą — i oby nią był!

Treść mniej więcej następująca:

Zwiedzeni fałszywymi doniesieniami oburzonych na Lukianosa pseudo-filozofów mędrzy, jak Sokrates, Chrysyppos, Empedokles, Platon, Diogenes i i. zapalali gniewem przeciw autorowi, który rzekomo i ich napadł w owej „Licytacyi“. Uprosiwszy więc sobie u Hadesa jednodniowy „urlop“ wychodzą na ziemię — i ztąd tytuł „Zmartwychwstali“ — chwytają Lukianosa i pragną go uśmiercić. Z trudnością udaje się mu uzyskać zwłokę i przyzwolenie na sąd, w którym sędzią ma być Filozofia. Znalazłszy ją, wyłuszczają sprawę, a ta w towarzystwie Prawdy, Badania i in. udaje się z nimi na Akropolis, gdzie skargę wnosi Diogenes, poczem Lukianos

który się miemi Szczeroustym, w obronie swej przedstawia, że nie filozofią i nie owych starych filozofów wyśmiewał. On tylko nicował ich epigonów, którzy głoszonych przez siebie zasad w życiu nie spełniają, przez co i one i stan swój, a nawet swych mistrzów w pogardę powszechności podają. Skutkiem tej obrony uznają sami oskarżyciele L.-a niewinnym. Prawu stało się zadość, ale i pokrzywdzony domaga się zadośćuczynienia. Wnioskowanie zwoluje wszystkich filozofów żyjących, ale ci się niekwapią. Lukianos więc wpada na świetny pomysł. Oto z murów Akropolis zarzuca wędkę — ztąd tytuł Rybak — na którą się chwyta jeden po drugim z pseudo-filozofów. Zmartwychwstali mistrzowie przekonawszy się o nicości swych naśladowców, pasują Lukianos na ryceerza swych zasad, który ma wieńczyć dobrych, a piętnować złych filozofów.

Treść tę grecki mistrz w prostą, ale pełną życia i humoru przybrał sukienkę dyalogu. Czy tłumacz też odpowiedział swemu zadaniu? W ogóle rzecz wzięwszy, można odpowiedzieć: tak. Kto nie zna oryginału, może być zadowolony z tego, co otrzymał w przekładzie; boję się jednak, czy styl i język L...a pozna w nim, czy też raczej cechy charakterystyczne znikną przed jego oczyma. Jabym sądził, że to ostatnie jest bliższe rzeczywistości. Albowiem tłumacz, choć pracę uznać muszę, nie wiem z jakich powodów, czy z niewprawności, czy też niedostatecznego przejęcia się duchem pism L...a — bo o niedbałość posądzać go nie śmiem, obchodzi się z tekstem, powiedzmy otwarcie dość dowolnie. Wydaje mu się zdanie za długie — a więc siecze je na 2, czasem 3 oddzielne, przerzuca wyrazy, ba! całe zwroty.

Nie przeczę, że miał tu na oku przejrzystość i zrozumiałość przekładu, ale zdaniem mojem — jeśli w poezyi jesteśmy pobłażliwsi i na mniejsze odstępstwa od oryginału z konieczności przyzwalamy — to w mowie niewiązanej powinniśmy się bardziej wiązać regułami ścisłości i wierności przekładu. Tej zaś zalety przyznać p. Weidlowi nie możemy. Dla przykładu weźmy początek zaraz — Sokrates u p. W.-a woła: „Bij! bij... obrzuć... zasyp... bij... rzucaj... Rzućmy się na niego“, tymczasem oryginał przecież nie dla kaprysu autora 5 razy powtarza jużto samo słowo „balle“, jużto w złożeniu, co weale bicia nie oznacza. Przykładów

takich i o wiele ważniejszych możnaby więcej prawie w każdym zdaniu wykazać, ale miejsca by już nie stało. Ciekawszych proszę o porównanie rozdziałów 25—27, tj. oskarżenia Diogenesa i rozdz. 29—37 tj. obrony Lukianososa, a sądzę, że się ze mną zgodzą.

Przypiski, bardzo potrzebne dla przeciętnego czytelnika, skrzętnie tłumacz pododawał, mniejsza o to skąd je wziął.

W każdym razie przekład, choć pretensyi do filologicznie doskonałego rościć nie może, potrzeby czytającej publiczności zaspokoić powinien z naszej strony życzyć tylko należy p. Weidlowi, by pogłębił przedmiot swój, a wtedy z pożytkiem prace jego będą dla filologii naszej w tem pojęciu, jakieśmy jej wyżej zakreslili.

A propos — zawadziliśmy zaraz na początku o pisownią nazwiska „Lucyan“. Zdaje nam się, że podobne modernizowanie jest nie na miejscu. Że tam Rzymianie niegdyś, z jakich powodów, mniejsza o to, zlatynizowali imiona greckie, to my je też mamy brać z drugiej ręki? Sięgajmy zawsze do źródła, a więc nie przekracajmy i nie skracajmy nazwisk: Lucyan, Chryzyp, Dyogenes, Pytagores, itd., które brzmieć i pisać się winny: Lukianos, Chrysippos, Diogenes, Pythagoras.

Franciszek Krczek.

KORESPONDENCYE.

Kraków w Czerwcu.

Wiec akademicki. — Czytelnia akademicka. — Przygotowania do pogrzebu, Festyn w parku dra. Jordana. — Pogrzeb ś. p. Kolberga.

Pierwsze dni czerwca przysporzyły nam wiele tematu do kroniki miesięcznej; obok wypadków zostawiających po sobie przyjemne wspomnienie znalazły się i przykre, o których wolelibyśmy zamilczeć, lecz uczynić tego nie mamy prawa, by nas ktoś o niedbalstwo nie posądził. Do tych ostatnich zaliczyć musimy wiec akademicki, na którym znowu wylazły jak szydło z worka

wzajemne antagonizmy i zawiść stronnicza — jak pewien brukowy reporter zwykł mawiać. — Po każdym wiecu akademickim nabieramy większej odrazy do podobnych zebrań i tylko ważność sprawy skłonić nas mogła do uczestnictwa w ostatniem zgromadzeniu. — Już na parę dni przed wiecem obiegały kurendy — wzywające do walki „z konserwatywno-klerykalną partją grupującą się w nowej Czytelni Akadem;“ z tego też może powodu obszerna sala Kopernika zebranych pomieścić nie zdołała.

Po wyborze prezydium, które zaznaczyć musimy, było zupełnie bezstronnem przystąpiono do obrad. Powtarzać ich tu nie będziemy, zaznaczymy tylko, iż bardzo — nawet zanadto umiarkowane żądania Czytelni akad. odrzucono nie wybierając do komitetu żadnego z jej przedstawicieli, zapraszając natomiast przewodniczącego a względnie zastępcę przewodniczącego Akademickiej Hromady. — Nie obeszło się i bez humorystyki, jeden z głównych mówców stronnictwa „postępowego“ rozśmieszał wszystkich swymi zwrotami stylistycznymi, których przytaczać tylko dlatego nie zamierzam, że znajdują się one zapewne w Szopce akademickiej, a tam dla podobnych elukubracji chyba stosowniejsze miejsce niż na wiecu traktującym o tak poważnych sprawach — jak o udziale młodzieży w pogrzebie Mickiewicza.

Smutny to fakt, że nawet w takiej chwili nie umieli nasi przeciwnicy postąpić sobie jak należało, że nawet nad trumną wracającą z emigracyi wszczynają walkę. Cały naród wita drogie prochy, wszystkie stronnictwa polityczne pracują zgodnie nad uświetnieniem pogrzebu a młodzież jedna kłótnie prowadzi.

Smutne to, lecz niemniej prawdziwe.

W ostatniej chwili dowiadujemy się o paktowaniu, o próbach jakiej — choćby powierzchownej ugody, lecz to już może i zbyt późno i nie mielibyśmy za złe Czytelni, gdyby ta teraz skalę swoich wymagań spotęgowała.

Uchwałą komitetu złożonego przez Wydział krajowy powołany został prezes Czyt. akad. M. S. Grzybowski do uczestnictwa w delegacyi, która za dni kilka wyrusza do Paryża, by towarzyszyć z nad Sekwany powracającym nad Wisłę prochom a członkowie Czytelni akad. powołani przez Subkomitet krakowski pracują z zapalem w różnych komisjach i podkomisjach. — Uważać to musimy za zadośćuczynienie za postąpienie ostatniego wiecu akadem.: Dr. W. L. Jaworski jeden z delegatów młodzieży w dawnym (jakoteż w nowym) komitecie sprowadzenia zwłok wystąpił z tegoż tylko na wyraźne żądanie p. Namiestnika.

O zamierzonym zjeździe słowiańskim kto inny już napisał, ja tylko chyba dodam, że nie gniewaliśmy się wcale dowiedzia-

wszy się o zakazie; powody wyluszczył już mój kolega, powtarzać więc ich nie mam potrzeby.

We Środę 4 b. m. pospieszył cały Kraków do parku dra Jordana, gdzie urządzonym został festyn na dochód budowy domu akademickiego. — O powodzeniu zabawy, o wdziękach królujących w namiotach pań, o zaletach ochotniczych plutonów straży ogniowej (mówię tymrazem o plutonach składających się z członków Czytelni Akad., bo te tylko udział w zabawie brały) pisały bardzo obszernie codzienne pisma, ja notuję tylko z obowiązku kronikarza, że czysty dochód wynosi około 1000 złr., była to więc przyjemna zabawa połączona z pożytkiem.

W sam dzień Bożego Ciała odprowadziliśmy na wieczny spoczynek człowieka co lat wiele pracował na to, by ogół zaliczył jego imię w poczet ludzi prawdziwie zasłużonych. — Nie tu miejsce rozwodzić się nad zasługami ś. p. Oskara Kolberga — znamy je wszyscy dobrze. Podnieść jednak musimy skromność odbijającą się jaskrawo w obec naszych pseudowielkości. Jestto przykład godny naśladowania w czasach kiedy to wzajemne kadenie i wzajemna reklama tak się wśród nas rozpanoszyły. — Wśród wielu wieńców znalazł się ofiarowany i przez Czytelnię akademicką, z okna jej lokalu powiewała czarna chorągiew, członkowie tego stowarzyszenia ponieśli na swych ramionach trumnę od bramy cmentarnej do grobu a kolega nasz w redakcyi J. K. Ehrenberg wypowiedział w gorących słowach mowę pożegnalną

Przyjemne bardzo wrażenie wywarło na nas przemówienie akad. Nawrockiego, niegdyś prezesa Akademycznej Hromady. Dowiedzieliśmy się ze słów jego, „że ła polska i ruska to dwie rodzone siostry“ i wielu innych rzeczy podobnych, krótko mówiąc było to przemówienie bez żadnego fałszywego akordu i dlatego chcąc być bezstronnymi podnosimy je z prawdziwą rozkoszą. Stanowi ono charakterystyczny kontrast z zachowaniem się panów Wachnianina, Romańczuka i Bełaja, odskoczyło daleko od wielu poprzednich wystąpień publicznych kolegów naszych.

J. P. Kamieniecki.

P. S. Komitet akademicki wybrany na wiecu został 17 b. m. przez Senat akad. rozwiązany.

Redakcyja.

Lwów — Maj 1890.

Wraz z wiosną powstały na naszej politechnice, w łonie Towarzystwa Bratniej pomocy dwa kółka: szermierzy i Ognisko. Pierwsze z tych wymienionych istniało już wprawdzie, ale jak

przed rokiem popadło w letarg, tak się dopiero obecnie przebudziło. Dzięki kol. Syniewskiemu, który temu kółku życie przywrócił, rozwija się ono świetnie, lekcye fechtunku odbywają się dwa razy tygodniowo, a codziennie godzina przeznaczoną jest na ćwiczenia. Członków liczy to kółko do 20-stu. Drugie kółko „Ognisko“ tylko nazwę ma wspólną z organem pewnej części waszej młodzieży, nie więcej. Oparte na gruncie demokratyczno-narodowym, ma na celu rozbudzenie życia koleżeńkiego i umysłowego pomiędzy naszymi kolegami. Jak wypełnia jedno i drugie najlepszym dowodem jest dotychczasowa działalność tego kółka. Pomimo krótkości swego istnienia już miało dwa odczyty: 1) Józef Wybicki i jego epoka kol. Aleksandrowicza, 2) Konstytucya trzeciego maja; zainaugurowało ono również 2 wycieczki w uroczne okolice Lwowa. Wycieczki te, w których brało udział około 20-stu kolegów były najlepszym środkiem do zbliżenia się wzajemnego nowo-przybyłych z tymi, którzy już przebywają na technice od lat kilku.

Cały dochód przeznacza to kółko na budowę Domu Techników.

Kiedy już wspomniałem o budowie Domu Techników to muszę trochę dłużej się nad tem zatrzymać. Myśl założenia takiego domu już dawno kiełkowała pomiędzy młodzieżą politechniczną. Zarodek tego spotykamy w r. 1872, w którym kilkunastu członków Tow. Br. Pomocy, a między nimi i wasz profesor Dr. A. Witkowski zgłosiło na walnym zgromadzeniu wnioszek wynajęcia kilku pokoi gdzieby znaleźli pomieszczenie ci koledzy, którzy przyjechawszy do Lwowa mieszkania znaleźć nie mogli. Myśl ta podniesiona przez kol. Syniewskiego i towarzyszy na W. Zgr. w Grudniu zeszł. roku jednogłośnie przyjętą została.

Wybranie komitetu z 9 członków złożonego poruczono wydziałowi, lecz na waln. Zgrom. w marcu b. r. przeszedł wniosek wyboru komitetu przez W. Zgromadzenie. Prezesem kom. jest K. Jędrzej Nosowicz, skarbnikiem k. Tołoczko Edward a sekretarzem Rolle Karol. Komitet jednak zawiódł nasze nadzieje dotychczas oprócz kilku posiedzeń odbywanych raz na miesiąc i prócz wydania odezwy w dziennikach o utworzeniu się takiego komitetu nic nie zdziałano. Dlaczego rzeczywiście nie jest mi wiadomem, my, którzy stoimy na boku czynności tego komitetu nie widzimy.

Wydział wybrany na W. Zgrom. w marcu nie długo pełnił swe obowiązki w komplecie. Z powodów, których wam tu wyłuszczać nie chcę, dwóch kolegów było zmuszonych z wydziału ustąpić a trzech innych równocześnie wniosło rezygnacyę. Nowe uzupełniające wybory odbyły się w końcu kwietnia, skład wydziału

następujący: Kornella Andrzej przew., Witkowski Jan zast. przew. Zangen Bron. sekr., Breitenwald Robert skarbnik, Moraczewski Jędrzej bibl.; wydziałowymi zostali: Sroka Józef, Sosnowski Józef, Haładej Jan, Szczęsłowicz Zbigniew, Rolle Karol., Kramer Wilhelm, Kuschée Tadeusz, Mataszowski Ludwik, Talko. Wydział jak dotychczas pomimo wielu niesprzyjających okoliczności pracuje i widać już rezultaty tej pracy. Oby tak dalej!

Na koniec mamy dla was wcale nie wesołą nowinę — oto jeden z kolegów Artur Schleyen w obawie przed procesem, który może mógłby dlań niepomyślnie się skończyć, opuścił nasz zakład, drugi zaś Michel Simon Szpunt rodem z Sienna na Białej Rusi został wydalony za socyalistyczne konspiracye z granic Monarchii. Obydwaj ci koledzy są izraelitami i gorącymi stronnikami „Ogniska“. W pierwszym partya „Ogniska“ postradała gorliwego rzecznika.

X.

We Lwowie w czerwcu 1890.

(Komitet Krajowy. — Komitet miejski. — Wiece akademickie i komisya wykonawcza. — Nasi rusecy. — Nasi żydzi. — Pomnik Mickiewiczowski. — Do redakeyi „Przeglądu akadem.“

Udział młodzieży akademickiej w uroczystości narodowej, której cały naród nasz czeka z utęsknieniem, będzie zapewne wspaniałą tak przynajmniej kroki dotychczasowe pozwalają tu szyć. — Już samo powołanie reprezentantów młodzieży akademickiej w skład komitetu krajowego dla pogrzebu Mickiewicza jest dowodem, że „starszyzna“ nasza liczy się z nami, co zresztą jest patryotycznym obowiązkiem. Wybór przedstawicieli młodzieży przedsięwziął Wydział krajowy w najlepszej wierze i bardzo szczęśliwie ale niepraktycznie. Powiadomiona bezsprzecznie o rozłanie wśród młodzieży krakowskiej, powinna była najwyższa nasza Instytucya narodowa zażądać przedstawicieli młodzieży o różnych przekonaniach. Jeżeli liczba tych nie miała dwóch przenosić, mógł jeden z nich, np., jak to nastąpiło, przewodniczący Czytelnii akademickiej albo inny podobnie myślący przedstawiać tendencye narodowe młodzieży, drugiego zaś niechby sobie wybrali byli nasi zwolennicy ciaśniejszej Polski, potężnej Rusi i zagranicznych mrzonek, jeżeli w uroczystości czysto narodowej chcą pójść razem ze „wstecznikami“. Taki a nie inny sposób był najodpowiedniejszy, aby uniknąć szkandalów, które nastąpiły z po-

wodu jednostronnego powołania rzeczników młodzieży. ¹⁾ Zostawić zupełnie wybór delegatów samej młodzieży bez warunku o przedstawicielach obu wybitnych przekonań nie doprowadziłoby również do celu. Co możliwe we Lwowie, mniej możliwe w Krakowie, gdzie wybór byłby w takich warunkach wypadł z pewnością znowu jednostronnie i to na niekorzyść strony, którą Wydział krajowy uwzględnił. Ani Wydział krajowy czy też jego Marszałek, ani żaden dobry patriota nie przypuszczał protestu, jakiego sobie pozwolono w Krakowie: aby więc nie dopuścić dalszych awantur, nie zaś z innych pobudek kooptował Komitet żądanych a pominiętych ²⁾ i — odpadł powód do waśni, a — cudem drugiego jeszcze nie ma. — Dalszym dobrym dla nas objawem jest powołanie licznych reprezentantów młodzieży do komitetu miejskiego, który dla tejsamej sprawy zawiązał się we Lwowie pod przewodnictwem Dra Antoniego Małeckiego z p. Tadeuszem Romanowiczem jako tegoż zastępcą. Akademyści wchodzą tamże w liczbie 8, a jeden z nich (Baranowski) pełni funkcję sekretarza komitetu: słuchacze politechniki i szkoły rolniczej w Dublanach wydelegowali do tego komitetu po trzech. Komitet miejski działa w zupełnem porozumieniu z Komitetem krajowym i wysadzona do tego komisya z Rady miejskiej, ile że wielu tegoż członków i tu i tam zasiada, ogranicza się zaś do udziału obywatelstwa lwowskiego w uroczystości Mickiewiczowskiej.

Trzeciem ciałem w tejsamej sprawie pracującym, jest komisya wykonawcza wiecu t. zw. akademickiego, który odbył się 7 b. m. w auli politechnicznej. Inicytorowie tegoż wiecu wielkimi plakatami, po ulicach rozlepionymi, zapraszali na „wiec ogólno-akademicki“, osobnymi zaś zaproszeniami wezwali do współudziału i słuchaczy szkół fachowych, jak lasowej, weterynarzy. O ile ci ostatni są akademikami, nie wiem, fakt jednak faktem, że byli uczestnikami wiecu i na każdym miejscu starali się obecność swoją zaznaczyć, czemu się nie dziwię, gdy ich objęto „ogólno-akademickim“ tytułem. Czyż nie lepiej było zaprosić na wiec „wszystkich słuchaczy szkół wyższych“ ?!

¹⁾ Myli się Szan. korespondent nasz sądząc, że tak nie było. Drugi reprezentant młodzieży w komitecie akademik Czarnocki, wiceprezes krakowskiej Bratniej pomocy, należy do nieprzyjaciół dzisiejszej „Czytelnicy“ i „Przeгляdu akademickiego“. Stało się więc sprawiedliwości odrazu zadosyć.

Przyp. Red.

²⁾ Czterech akademików Miśkę, Kulezyckiego, Butrymowicza i Seinfeldę powołano jedynie dla zasady, żeby cały był komitet tymczasowy in corpore należał do komitetu pełnego.

Przyp. Red.

Wiec o dość licznym współudziale cechował mierny porządek, a natomiast wielki takt, z jakim prowadzono obrady. Przewodniczył prezes Czytelni akademickiej Adam ze spokojem i godnością; oddał cześć pamięci Kolberga i otworzył dyskusyą nad udziałem młodzieży polskiej ze Lwowa i Dublan w pogrzebie Mickiewicza.

Sprawami, które z obfitego porządku dziennego przysły pod obrady i doczekały się uchwał, są: 1) Uchwalono udać się do komitetu krajowego z prośbą, aby przyjął w skład swój jeszcze trzech przedstawicieli młodzieży, którymi wybrano Ernesta Adama, przewodniczącego Czytelni akademickiej, Kornellę, przewodniczącego Bratniej pomocy technicznej i Surzyckiego, przewodniczącego Bratniej pomocy dublańskiej. 2) Uchwalono prosić tenże komitet krajowy, aby z przeznaczonymi już do Paryża wysłańcami kraju po zwłoki Mickiewicza pojechał także na koszt kraju Adam. 3) Uchwalono, że imieniem młodzieży lwowskiej i dublańskiej ma przemawiać nad grobem wieszca tenże Adam, żądać więc od komitetu krajowego, aby tę mowę umieścił w programie przemówień. Przy każdorazowym głosowaniu przeszedł Adam dominującą większością nad kandydatami przeciwnymi, a byli nimi Podkowicz i Surzycki. Przez dłuższy czas niemożliwe było doprowadzenie do zgody co do kandydatów, zwłaszcza że przeciwnicy Adama wszelkimi środkami możliwymi używali, aby raczej sprawę odwlec lub zabagnić, niż w obec widocznej większości za Adamem zrezygnować ze swoich kandydatur. Podnieść szczególnie należy niestosowne wystąpienie Podkowicza, który zapomniawszy o porządku dziennym i sądząc widocznie, że przemawia na zgromadzeniu Czytelni akademickiej, wystąpił przeciw Adamowi z zarzutami już to osobistej natury, już to ze sprawą obchodu Mickiewiczowskiego nie niemającymi wspólnego. Daruje Szanowny Kolega, ale jako kontrkandydatowi Adama na godność prezesa Czytelni, a obecnie na godność również pochlebną, co najmniej, nie wypadało mu tak występować, aby nie popaść w podejrzenie o prywatę. To też słusznie zgromadzenie nie chciało pozwolić skończyć Podkowiczowi, który przez swoje wystąpienie pogrzebał swoją kandydaturę. Wreszcie po tem i temu podobnych intermezzach doszliśmy do porozumienia w sprawie kandydatur, a zawdzięczyć to należy pełnym taktu przemówieniom Adama i Krezeka. Po wyborach zanieśli obecni zaledwie coś w liczbie 10 Dublańczycy protest przeciw wyborowi Adama i zgromadzenie skończyło się wyborem komisji wykonawczej i odesłaniem do niej wszelkich postawionych i niepostawionych wniosków.

Komisja wykonawcza wiecu zebrała się wkrótce po tem, aby przedewszystkiem przyjąć do wiadomości, że słuchacze wy-

szej szkoły rolniczej w Dublanach w liczbie podobno 80 wybrali na nadzwyczajnem zgromadzeniu swoim mowcą na pogrzeb Mickiewicza przewodniczącego swego Stefana Surzyckiego.

W obec tego oświadczenia musiano naturalnie zgodzić się na separacyą Dublańczyków, podanie więc odnośnie do komitetu krajowego zmieniono o tyle, że opiewać będzie w jednym miejscu, mianowicie co do przemówienia na dwa nazwiska, t. j. Adama, jako reprezentanta młodzieży lwowskiej i Surzyckiego imieniem młodzieży dublańskiej. Reszta spraw, które załatwiła lub załatwi komisya, jest czysto administracyjnej natury, jak sprawa wspólnego wieńca od młodzieży polskiej z Czerwonej Rusi, sprawa wystósowania zaproszeń do wszystkich słowiańskich zakładów naukowych wyższych, o innych znowu lepiej może jeszcze nie pisać, bo mogą jeszcze ulec zmianie, jak np. uchwała o udziale w zjeździe słowiańskich akademików, który jak wiadomo, nie przyjdzie w Krakowie do skutku.¹⁾

Udział młodzieży lwowskiej na miejscu w Krakowie będzie prawdopodobnie wielki: rzeczą Czytelnii akademickiej Waszej postarać się o ułatwienie pobytu. Mimo wspólnych manifestacyj, jak jeden wieńiec, jeden mowca, wszystkie prawie tutejsze towarzystwa akademickie i przy innych zakładach naukowych istniejące biorą urzędowy udział przez swe deputacye. Nie słyhać na

¹⁾ Mimo wielkiej sympatyj, jaką mamy dla kandydata wiecu lwowskiego kol. Ernesta Adama, zaznaczyć musimy, że nie możemy się godzić na powyższe uchwały. Nie przemawiamy bynajmniej pro domo sua. Byłoby nam zupełnie wszystko jedno, czy kolega Adam, czy kolega Grzybowski pojedzie do Paryża po zwłoki. Takt jednak wskazuje, że nie powinniśmy cisnąć się gwałtem do delegacyi, która w dzisiejszym swoim składzie jest ułożona bardzo dobrze; najwyższy reprezentant władzy krajowej, najznakomitszy polski piszący obecnie poeta i jeden akademik: jest to stosunek zupełnie normalny. Dwóch naszym zdaniem stanowiłoby już dysproporeę. To samo odnosi się do przemówień na pogrzebie. Przyznajemy, że godziłoby się, żeby ktoś od młodzieży polskiej przemawiał np.: kolega Adam. Tylko nie mamy złudzeń i wiemy, że się to zrobić nie da. Dobrze wiemy, iż stronnictwo „Ogniska“ gotowe jest poruszyć wszystkie sprężyny możebne i niemożebne, żeby żadnego z nas nie dopuścić do głosu. Co się zaś tyczy owego projektu czterech mów akademickich, w obec zaledwie trzech innych. — jest on zupełnie niefortunny. Nie znamy kolegi Surzyckiego, ale wiemy, że nasi radykalni nie zaniechaliby wmięszać w swoje mowy i owych sympatyj i interesów i owej Polski etnograficznej i jątrzenia antagonizmów społecznych, przez co z pewnością nie uświetniliby uroczystości. Dla spokoju świętych prochów wielkiego wieszczą wyrzekamy się więc sami prawa głosu, — a wina za to, że młodzież na pogrzebie Mickiewicza będzie mileć, niech spada na „Ognisko“ i jego przyjaciół. Niestety! jakże się myli wasza Trybuna sądząc, że wobec zwłok nieśmiertelnego poety ucielną smutne spory. Z ręką na sercu możemy powiedzieć, że nie myśmy je wywoływali; pierwsi wyciągnęliśmy rękę do naszych nieprzyjaciół, ale ją odrzucono.

razie tego o rusko-polskiem towarzystwie „Filomatów“, które, licząc podobno na kilkunastu członków swych jednego Rusina zakwestyonowanego, uważa za stósowne nie manifestować się dla wieszca polskiego. Nie zazdrościmy niefortunnym apostołom zgody polsko-ruskiej tej solidarności z naszymi ruskimi i russkimi. Drugim towarzystwem, częściowo akademickiem, nie polskiem wprawdzie teraz ale polską firmę posiadającym, które naturalnie udziału oficjalnego w obchodzie narodowym nie weźmie, jest Towarzystwo wzajemnej pomocy rygorozantów, auskultantów i słuchaczy w. m. (scilicet wyznania mojżeszowego).

W innych czasach, a lepszych, gdy żydzi tułacze szukali i znaleźli u nas gościny przytułek, manifestowali się dla nowej swej ojczyzny, bo nas potrzebowali; owszem zdarzały się nawet między nimi sporadyczne objawy pięknej wdzięczności i miłości dla narodu, co się obszedł z nimi jak z ludźmi, inaczej, niż gdzieindziej. Ale teraz gdyśmy tacy sami jak oni, tułacze, gdy nas pędzą, rugują, mordują, jak i żydom może się nie trafiało, niepotrzebniśmy już im, wołają więc zwrócić karesy swoje do kogo innego, albo lepiej pracować dla Judei, która, kto wie, czy u nas nie jest już bliską zrealizowania. Nie dziw zatem, że młodsze pokolenie z odkrytą maską występuje już przed nami, nie dziw, że prezesem wspomnianego towarzystwa nie mógł zostać nikt inny, jak ten, co mówi: „Ich bin ein Jude, ich bin nur ein Jude“. Co jednak prezes ten p. Diamand a i inny pan podobny, znany znowu i szerszemu ogółowi z patryotyzmu niemieckiego p. Artur Schleyen robili na wiecu akademickim dla sprawy obchodu Mickiewiczowskiego, jakie ich tam licho przyniosło, trudno pojąć. Chyba przeznaczenie mieli głosami swymi przechylić szalę zwycięstwa na rzecz przeciwników Adama, tym razem jednak sukces im nie dopisał tak, jak w towarzystwie rygorozantów lub towarzystwie „Sion“.

Choć to przykro brudy takie wywlekać w chwili, gdy wszelkie różnice i kwasy powinny ustać wobec trumny Wieszca, co był wieszczem i tym, co niezadowoleni i tym, z którycheśmy niezadowoleni, Rusinom i Żydom, trzeba już raz sprawę jasno postawić, a ślę to pod adresem tych, o których dobrej wierze nie wątpię, którzy jednak zanadto wierzą w zgodę polsko-ruską i w asymilacyą żydów.

Na ostatek niech mi wolno będzie wystąpić z dwoma projektami. Wykonanie jednego z nich przypadłoby krakowskiej Czytelni akademickiej, a jest to sprawa zwołania w czasie pogrzebu Mickiewicza wiecu akademickiego wyłącznie dla sprawy pomnika dla wieszca. Jest to sprawa, w której podobno wszyscy się zgodzimy, że należy raz z pomnikiem skończyć i tam go

postawić, gdzie jest najodpowiedniejsze miejsce. Wydział Czytelni akademickiej lwowskiej zabrał już wprawdzie głos przeciw projektowi komisji z 5-ciu, wielu jednak z nas nie ma pojęcia o miejscu, na pomnik przeznaczonem, może więc tylko iurare in verba aliorum. Na miejscu w Krakowie możemy urządzić wizyą lokalną, a po niej uchwalić, co należy.

Drugą myśl podają Redakcyi Przeglądu akademickiego, aby wydała następny numer w formie uroczystej i poświęciła go wyłącznie Mickiewiczowi względnie jego dziełom. We Lwowie wyjdzie w ten sposób pod koniec czerwca czy też z początkiem lipca tygodnik pedagogiczny „Szkola“.

B. Baranowski.

Wiedeń 13 Czerwca 1890.

Nie ma dotąd Uniwersytet wiedeński katedry ani dla Słowiańskiej historyi ani dla słowiańskich literatur. Że to brak wielki, nikt przeczyć nie zamierza, zwłaszcza, że lekko licząc co najmniej trzecia część wiedeńskich studentów (około 2.000) do słowiańskich narodowości się zalicza. „Ognisko“, stowarzyszenie polskich studentów, postanowiło więc starać się, aby brakowi temu zaradzono i domagać się ustanowienia katedry dla literatur sław. W tym celu zaprosiło delegatów tutejszej słowiańskiej młodzieży, aby wspólnie z nią do działania przystąpić.

Oto jest geneza sprawy, która w następstwach swoich wiele upokorzeń i przykrości tutejszej Polonii sprawiła. Myśl była bowiem dobra, ale niezręcznie wprowadzona w życie i wykonana. Najprzód bowiem zakwestyonowaćby należało, czy to jest odpowiednią rzeczą, aby wogóle młodzież podobną sprawę w swe ręce brała. Nam się zdaje, że za mało ona ma na to powagi, że nie 20-letnim młodzieńcom, ale starszym, zasłużonym ludziom mogłoby się udać wyjednać ustanowienie takiej katedry.

Wszystko coby młodzież w tym kierunku zrobić mogła i co było rzeczywiście w jej planie, a więc wiec studencki, adres do senatu z podpisami itp. demonstracye do celu nie doprowadziłyby. Sfery od których ustanowienie katedry zależy, nie są nam zasadniczo nie przychylnie, zwłaszcza, że w rzeczach nauki Niemcy kierują się bezstronnością, — wszak nawet w Berlinie wykłada Brückner historyą słow. literatur. I tu więc w Wiedniu pozwolnoby się z pewnością do tego przedmiotu habilitować ma się rozumieć, gdyby był odpowiedni kandydat, tak jak pozwolono że do filologii słow. jest 4 czy 5 professorów i docentów. Ale

istnienie odpowiedniego kandydata jest pierwszym warunkiem, od któregoby ustanowienie katedry mogło zależeć, wszelkie zaś demonstracye, wiece i adresy mogłyby tylko sprawie zaszkodzić i dzienniki nieprzyjazne nam nie omieszkałyby tych demonstracyj jako politycznych przedstawić, a wobec tego patrzano by na nie nieprzychylnie i o uwzględnieniu ich nie mogłoby być nawet mowy.

Dla tego to nie wahamy się nazwać tego sposobu, w jaki starano się wprowadzić w życie myśl ustanowienia katedry słowiańskich literatur nieudalymi. Cóż dopiero powiedzieć należy o tem, jak ten projekt wykonano!

„Ognisko“ zaprosiło do swego lokalu delegatów ze wszystkich stowarzyszeń słowiańskich. Nie wysłano jednak zaproszenia do towarzystwa stud. rosyjskich („akad. Krużok“) i Rusińskiej „Buko wyny“, która się otwarcie do rosyjskich sympatyj przyznaje (w przeciwieństwie do Ukraińców w „Siczy“). Zdaje nam się, że to był błąd ze strony „Ogniska“. Bądź co bądź są to stowarzyszenia słow. a ująwszy w swe ręce sprawę z cechą ogólnosłowiańską nie należało ich od niej wykluczać. Oczywiście że panslawistycznym ich tendencyjom — w razie gdyby były z nimi wystąpiły, — trzebaby się było oprzeć, ale przesądzać już z góry, że z niemi wystąpią, i dlatego je z góry od udziału wykluczać, był to wielki błąd taktyczny, który też niebawem się na „Ognisku“ pomścił.

Oto bowiem stowarzyszenie narodowców rusińskich „Sicz“ nadsyła do „Ogniska“ list obszerny, nie przyjmując zaproszenia, bo sprawę tę wzięło w ręce stowarzyszenie polskie a jak wiadomo „Polacy cieniężą Rusinów“ w Galicyi i nie mają wskutek tego prawa do przewodniczenia Słowiańszczyźnie. „Sicz“ oświadcza więc wszystkim innym stowarzyszeniom słow., że jak długo Polacy tę sprawę mają w swem ręku, tak długo ona się od niej usuwa. Obszerny list „Siczy“ mógłby dostarczyć wybornych argumentów dla autora artykułu „Z dni majowych“. Wystąpiła tam na jaw z zupełną otwartością cała ta nienawiść, jaką nasi „russey“ tchną dla wszystkiego, co polskie. To co „Czerwonaja Ruś“ woła na głos, to co dyplomatyczniejsze od niej „Diło“ powtarza półgębkiem, wylali nasi „Ukraińcy“ na papier, obrażając każdym słowem i każdym zdaniem zarówno prawdę historyczną jak i nasze narodowe uczucie. List ten odczytano na zebraniu delegatów słowiańskich, poczem wszczęła się na ten temat dłuższa dyskusya. Delegaci „Ogniska“ czy to nie umieli dość wymownie bronić swej sprawy czy też że ulegli większości, dość że nie potrafili uzyskać od zebrania jakiegokolwiek satysfakcyi za ów list „Siczy“. Co więcej: pozwolili przejść wnioskowi jednego

z Serbów, aby uczynić zadość żądaniom „Siczy“ tj. oddać przewodnictwo w tej sprawie komitetowi z poza „Ogniska“, aby lokal „Ogniska“ przestał być miejscem zebrań dla delegatów (skoro „Sicz“ nie chce do „Ogniska“ przychodzić), aby w końcu zaprosić zarówno „rossyjski Krużok“ jak i „ruską Bukowynę“. Słowem przeszły wnioski, których moralnym sensem jest dla Polaków mniej więcej: ciemńycie Rusinów, nie godni jesteście przewodzić w sprawie sławiańskiej, dobrze oni robią, że wam impertynencki list napisali itd. Ze taką uchwałą owi delegaci powzięli żałować można, ale dziwić się trudno, zważywszy, że nie są dość z galicyjskimi stosunkami obznajomieni a młodzi i niedoświadczeni dość chętnie panslawistycznym mrzonkom dają ucho. Dziwniejsza rzecz, że „Ognisko“ dozwoliło takiej uchwale dojść do skutku, pozwoliło wyrwać sobie w takich okolicznościach inicjatywę z rąk i z obojętnością, graniczącą z apatyą na ów sławiański „wyrok“ przystało. Któż mu dał prawo do kompromitowania polskiego imienia podobnem postępowaniem? Skoro nie czuje się na siłach, skoro nie ma dość powagi i taktu, żeby tak trudne sprawy brać na swe barki, skoro nie może z honorem i godnością odeprzeć napadów „naszych najserdeczniejszych“ na naszą narodowość, pocóż kładzie palec między drzwi na to, żeby go przycięto? „Sicz“ tryumfuje że sprawę wygrała, bo inicjatywa i kierownictwo wysunęły się wskutek jej skarg na „ucisk Rusinów“ z rąk polskich, a „Ognisko“, zostało upokorzone. Smutnie, bardzo smutnie skończyła się dla nas ta akcja ogólno-sławiańska w sprawie katedry literatur.

Czytam właśnie, że zakazano „wiecu sławiańskich studentów“ w Krakowie i doprawdy że cieszę się z tego. Przyszłoby znowu do tym podobnych kompromitacyj dla nas, jak powyżej jedną opisałem. Studenci sław. są w znacznej części panslawistami, zjazd gotówby więc wypaść w tym duchu, usłyszeliśmy znowu skargi na ucisk „russkich“ w Galicyi i widzielibyśmy objawy wprost przeciw nam skierowane. Nie wątpię, że to wszystko byłoby na rękę „etnograficznym“ Polakom, ale dla nas lepiej, że zjazd do skutku nie dojdzie. Nie jest to chwila stosowna do poruszania sławiańskich idei i sławiańskich manifestacji; korzystają z nich ci, co w obecnej chwili moc mają w rękę a obracają się one na szkodę narodów słabszych, jakimi my na razie jesteśmy. Wszelki zjazd sław. — zwłaszcza studencki — to woda na młyn „russki“.

Podobno „Ognisko“ ma zamiar odpowiedzieć listem na list „Siczy“ i zerwać z nią stosunki. Według nas jedynie odpowiednią drogą byłoby zaprotestowanie póki czas przeciw uchwale delegatów i wycofanie się z tej niefortunnej akcji. S.

Wiadomości uniwersyteckie.

— Bractwo Filaretów rozwiązało się i złożyło Senatowi akad. jako depozyt kwotę 540 fl. zebraną na wystawienie pomnika dla Zyg. Krasinśkiego.

— Ministerstwo podniosło roczną dotację naukową kliniki lek. z 200 fl. na 400 fl.

— Doc. Dr. Mars ofiarował Uniwersytetowi pracownię do ćwiczeń ginekologiczno-położniczych własnym kosztem założoną i tymczasowo w Coll. juridicum umieszczoną.

— Ministerstwo zezwoliło zasadniczo na zaprowadzenie gazu w klinice lekarskiej, w obserwatorium astronomicznem i w pracowni botanicznej.

— Senat akademicki uchwalił ażeby odtąd wszelkie taksy za rygoroza, egzamina wstępne, egzamina farmaceutów i akuszerkę odbierała kwestura uniwersytecka.

— Senat akademicki pozwolił by Towarzystwo opieki zdrowia w Krakowie urządziło w ogrodzie klinicznym przyrządy do ćwiczeń gimnastycznych dla młodzieży lekarskiej.

— Senat ak. wezwał ekspozyturę Prokuratoryi Skarbowej o rychłe załatwienie zapisu ś. p. Jakubowskiego na rzecz bursy akademickiej.

— Wydział lekarski przyznał PP. Beckowi, Lachowiczowi, Kosińskiemu i Pelczarowi nagrody z fundacyi protomeyka Jakubowskiego za prace konkursowe.

— Ministerstwo zezwoliło na mianowanie przy klinice lekarskiej drugiego bezpłatnego elewa.

— Ks. Jan Schindler były prezes Rzeczy pospolitej krakowskiej przekazał testamentem całą swoją bibliotekę Uniwersytetowi Jag.

— Ministerstwo przyznało zakładowi farmakologicznemu nadzwyczajną dotację w kwocie 350 fl. na rok 1890.

— Prof. Dr. Smolka otrzymał urlop na letnie półrocze br.

— Namiestnictwo zatwierdziło zmiany w statucie kółka prawniczego

— Ks. Dr. Wojciech Grzegorzyc proboszcz w Bochni darował Uniw. cenny zbiór owadów dwuskrzydłowych. Zbiór ten przywieziony został do Krakowa przez Prof. Nowickiego i umieszczony w gabinecie Zoologicznym.

— Ministerstwo asygnuje 400 fl. nadzwyczajnego dodatku na r. 1890 dla zakładu patologii ogólnej i doświadczalnej.

— Ministerstwo zgadza się na wysłanie za granicę Prof. Janczewskiego i Prof. Godlewskiego z Dublan w celu studiowania urządzeń Wydziałów rolniczych.

— Prof. Kazim. Morawski w tem półroczu nie wykłada, ćwiczenia w seminaryum i proseminaryum łacińskim prowadzi Prof. Iskrzyski.

— Namiestnictwo zatwierdza statut Czytelni profesorów i docentów Uniwersytetu. Czytelnia ta umieszczoną jest w Conclave profesorów w Coll. novum. Należć mogą do niej także asystenci i urzędnicy Uniwersytetu.

— Senat uchwalił, by pierwszeństwo do zapomóg z fundacyi Szecepana Humberta mieli uczniowie państwowej szkoły przemysłowej krakowskiej.

— Senat mianuje P. Antoniego Pabijana wice-seniorem bursy akademickiej do końca Sierpnia 1891 r.

— Senat przesyła adres do Uniwersytetu w Montpellier z powodu uroczystości 600 letniego istnienia Uniwersytetu.

— Wydział lekarski zamianował Dr. Stanisława Gawlikowskiego asystentem przy zakładzie anatomii patologicznej.

— Wydział filozoficzny uprasza o utworzenie katedry języków i literatur romańskich i przedstawia na tę katedrę Dr. Maksymiliana Kawczyńskiego ze Lwowa, jako prof. nadzwyczajnego.

— Kółko geograficzne rozwiązało się z powodu, że Ministerstwo zaprowadziło ćwiczenia geograficzne jako rodzaj seminaryum geograficznego.

— Ministerstwo zezwoliło Prof. D. Kopernickiemu na odbywanie bezpłatnych ćwiczeń antropologicznych,

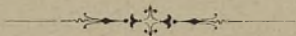
— Wydział Krajowy powołał prezesa Czytelni akademickiej i prezesa Tow. bratniej pomocy uczniów uniw. Jag. jako członków centralnego komitetu sprowadzenia zwłok Mickiewicza. Wezwanie do Tow. br. pom. rektor Uniwersytetu wręczył P. Czarnockiemu który w nieobecności prezesa i wiceprezesa reprezentuje Tow. br. pom. na zewnątrz.

— Obywatelski komitet opiekuńczy domu akademickiego, przedłożył projekt fundacyi domu akademickiego.

— Senat uchwalił statut i plan nauk wydziału rolniczego, który ma być zaprowadzony od 1 Października 1890 przy Wydziale filozoficznym.

— Ministerstwo podniosło dotację roczną na utrzymanie ogrodu botanicznego z 2000 fl. na 3000 fl. i asygnuje 5000 fl. na utworzenie muzeum botanicznego.

— Rada miasta Krakowa nie przychyliła się do prośby Senatu ak. o odstąpienie t.z. ogrodu Bystrzanowskich pod budowę klinik i zakładu patologicznego.



BALLADA, JAKICH WIELE.

(Kilka obrazów z akademickiej szopki).

Napisał Abir.

(Dalszy ciąg).

„Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę.“

Słowacki. Beniowski.

»Pocóżecie mój Matusie, pocóście jechali,
Kiedyście nic nie wskórali, jeszcze się z was śmiali!«

Wł. Anczyc. Emigracya Chłopska.

VIII.

*Wielmożny Kleofas Bączalski, właściciel Pustych Worów (pod
Nowym Sączem).*

Drogi Ojcze!

Kiedy donosiłem Ci drogi Ojcze o wzniosłym akcie zemsty nad Archontem, zemsty, która jako wypływ świętego oburzenia uciskanej duszy młodzieńczej odbiła się echem protestu przeciw gwałtowi o mury ulicy Pogrzebowej, — spodziewałem się innej od Ciebie odpowiedzi. Przeżytem hasłem „uczyć się smarkaczu“ nawołujesz mnie Ojcze do pełnienia źle pojętych obowiązków. Wszak uczymy się nie dla siebie, ale dla cierpiącej ludzkości przede wszystkim, dla szarych mas Helotów, którzy z nauki naszej produktywne owoce zbierać powinni! Przedtem jednak trzeba ich do tego przysposobić, a nim to zdziałać potrafimy, musimy usunąć wszelki gwałt, każdą żelazną prawicę, która chociaż już idź ją jedzona, gniecie jednak wolną myśl i głębiej sfałdowanym mózgom w ich fizyologicznych czynnościach przeszkadza.

Po drugie „smarkaczem“ ani „chłystkiem“ nie jestem, ja, który coraz śmielej i wyżej podnoszę w górę sztandar niepodległości ducha, ja, który z każdym dniem coraz lepiej przez rycerzy postępu jestem widziany i wkrótce może stanę na ich czele i powiodę ich w ostatni bój z ciemnotą i zacofaniem. Prawda, że jeszcze nie umię tak poruszać tłumów potęgą słowa jak Gorącewicz, Nihilewicz i inni, ale dał mi słowo akademickiego honoru kolega Gębicki, że tego w kilku tygodniach nabyć mogę, wypisując i wyuczając się na pamięć ważniejszych, mniej dla ogółu zrozumiałych cytatów z różnych dzieł i sprawozdań wydziałów Bilardni, których Gorącewicz obiecał mi nawet dostarczyć.

Abyś zaś Ojcze wiedział, jak postępuje z nami nasz Archont posiłkowany zgniłą plutokracją i giętkim serwilizmem, opiszę Ci wypadki ostatnich tygodni.

Zapomniałem Ci Ojcze poprzednio donieść, że hec akademicki, który zakończył się ową znaną Ci wspaniałą manifestacją, uchwalił nie poprzestać na gołosłownym proteście, ale postanowił osiągnąć produktywniejsze rezultaty. Wysłaliśmy do Schwarzwelburga deputacją, aby poruszywszy wszystkie sprężyny, przywróciła błogi dawny stan i powołała do życia „Błędny Ognik“, który gaszony zapamiętałe, ciemniał, ciemniał — aż zgasł zupełnie, co dla przyszłości jest stratą niepowetowaną!

Pełni mocy ducha i wiary w dobrą sprawę, zajęli nasi wysłannicy miejsca w wagonie trzeciej klasy. Mogli byli jechać drugą, a nawet pierwszą, ale nigdy nie posunęliby się do tego, aby usiąść na jednej ławie z nienawistnymi kamienicznikami, aby wyrzucać pieniądź w sposób, w jaki klasy uprzywilejowane niszczą go, zapominając, że zdobyty potem i krwią zamulonej i splekanej twardej dłoni Helotów.

Jeszcze składaliśmy im życzenia powodzenia, gdy w tém nagle rozległ się przerażający świst...

Nie myśl Ojcze, żeby to był zwykły świst lekceważenia i pogardy. O nie! to był świst — lokomotywy, żelaznej siostrzycy harpij szarpiących szare masy, pośredniczek wyzysku Helotów — fabrycznych maszyn. Dwie drogi obrali delegaci nasi. Jedną, to jest „Senatem państwa“ przez usta posłów zamierzili ogłosić całemu światu gwałty na nas spełniane, drugą, to jest skargą

zaniemioną przed tron Naczelnika Światłości postanowili zgnać niegodziwego Archonta. Nie myśl Ojeze, że udali się do naszego posła Agapita de Indemnizacya Kołopolskiego! O nie! On, zaco-faniec i klerykał nie odczułby myśli i pragnień milionów!

Uciekli się pod opiekuńcze skrzydła posłów Negra i Donnerwettera. Ja ich nie znam, ale mówią, że to nasi. Pierwszy jest podobno przyjacielem młodych Czechów, do niego więc młodzi Polacy udać się powinni. Mówią o nim nasze wsteczники, że jako Neger jest czarny, ciemny, nie wiadomo czego właściwie chce, ale to nieprawda. Dziki może jest, ale nie czarny, tylko czerwony i to ich drażni. Zarzucają mu nasze wsteczники, że zapatrzony we Wschód jak wrona w kość, ale i w tem niema nic dziwnego. Oni, skazani na zagubę, obawiają się Wschodu, który po ich zachodzie, po ich zatracie, zapromienieje.

Drugiemu, jakkolwiek nie lubi nas podobno, jako Słowian, zaufaliśmy, bo jakżeż nie zaufać temu, czyje nazwisko i zasady brzmią tak pięknie: Socyalizm, Demokracya, Donnerwetter!

W kilka dni po ich wyjeździe, otrzymaliśmy ze stolicy telegram, który w całości przytaczam:

„Wszystko dobrze. Miasto kolosalne. Lokale bardzo porządne, Etablissement Ronacher, Stephansdom, Opernhaus, Caffé Lyr etc. Lud sympatyczny, zwłaszcza kamerdyner Naczelnika Światłości. Powtórzył dosłownie instrukcyą Naczelnika, a propos nas: Diesen Herren aus Krakau zu sagen: Excellenz bereut - er - nicht dispo-nirt u s. w. Schütze er sich ein ander mahl diese Herren mir anzumelden! Reszta ustnie. Deputacya.“

Tak drogi Ojeze! Jeśli w tej chwili nie oburzasz się, nie jesteś chyba moim Ojcem! Szkoda, że obiecanych przez delegacyą ustnych objaśnień udzielić Ci nie mogę, ale sam ich nie słyszałem. Był wprawdzie zwołany w tym celu i w celu podziękowania delegatom za trudy hec ogólno-akademicki, ale nie przyszedł do skutku, jak mówią z tajemnych powodów.

Złe się dzieje, prześladowani za idee marniejemy! Gdybyś mię widział Ojeze, skórę i kość, zląkłbyś się. W niektórych restauracyach nie chcą nam dawać obiadów, jak mówią, ze względu na bardzo problematyczną całość szyb. Oto potwarz obrzydłej

burżuaryi, która podłymi insynuacyami walczy, na konkretną myśl zdobyć się nie mogąc!

Wskutek tego wydatki moje znacznie się zwiększyły. Podobno pszenica dobrze w tym roku obsypała?

Kochający syn

Tadeusz.

P. S. Żądane świadectwa z egzaminów zapomniałem włożyć do koperty. Prześle je później.

IX.

*„Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen“.*

Goethe.

(Mieszkanie Bączalskiego, który robi wypiski z dzieł rozłożonych na stoliku. Pomaga mu Gorącewicz, Gelbmann kręcąc „połówkę“ ziewa. Wpada Bilardowicz).

Bilardowicz. Wy tu spokojnie drzemiecie, nie wiedząc że drzemiecie na wulkanie!

Gelbmann. *(Kszusi się dymem z papierosa)*. Co kolega mówisz! Skądby się on tu mógł wziąć ten wulkan?

Bil... Wracam z Bilardni, to jest od jej drzwi za - pie - czę - to - wa - nych!

Gorącewicz. Jaktó?!

Bilardowicz. Słuchajcie! Przychodzę na zwykłą partyjkę, naciskam kłamkę, nie puszcza. Wtem pada wzrok mój na dwie krwawe plamy...

Gelbmann. Ojoj!

Bilardowicz. — spoglądające na mnie szyderczo. Przyglądam się bliżej i o zgrozo! Krwawe plamy, to nie innego, tylko dwie pieczęcie urzędowe. Bilardnia zamknięta, zabita, zapieczetowana!

Gorącewicz. No i cóż?

Bilardowicz. No i nie...

Gorącewicz. Jakto nie?! Taki gwałt to nie? taka samowola to nie? takie krępowanie wolnej myśli to nie? Cóż jest coś gdy to jest nie!

Bilardowicz. Powoli, powoli, cóż ja temu winien?

Bączalski. To prawda, że on nie winien.

Bilardowicz. Co tu teraz robić?

Gelbmann. Ja sobie to samo pomyślałem...

Gorącewicz. Działać! działać!

Gelbmann. Właśnie to samo chciałem powiedzieć.

(Siadają i myślą. Gelbmann myśli także. Wchodzą: Zażartowski, Nichilewicz, Wolnodumski, Klaskal i Gębicki z ponurymi minami).

Wszysey do wchodzących: Wiecie?

Wchodzący. Wiemy...

Gorącewicz. Radźcie!

Zażartowski. Ja mówię! — Koledzy! Cały szereg in-synuacyi — jakie na barki nasze zwała „Odłączność“, uosobienie impotencyi politycznej, charłactwa moralnego, apatyi do rzeczy wzniosłych inercyi i innych zbrodni, które na ich twarzy stygmat wieczystej hańby wycisną — w piekielnym sojuszu z niepomiernym despotyzmem i samowolą, spowodował zamknięcie naszego jedy-nego przytułku, nieodżałowanej Bilardni.

Koledzy! Materya rozkłada, rozpada się i marnieje w nie-przyjawnem otoczeniu, ale duch hardzieje i kamienieje! „Twardo wśród narodu stać, chorągwie rwać, świecić czynu jasną tarczą“ oto nasz dogmat!

Bączalski. A przecież w programie „Błędnego Ognika“ wyraźnie czytałem, że wykluczamy wszelkie dogmaty i objawienie.

Nichilewicz. E, nie zrozumiałeś tego. Ja ci to kiedyś wyjaśnię.

Zażartowski. Niech przypadnie zaplesniały legitymizm młodzieży, który jej przyświeca w pogoni za gwiazdą złota! My pójdziemy tam — gdzie miliony!

Wolnodumski. Brawo! brawo! koledzy! jakież to wznio-słe dążenie, jaki piękny cel! Te chorągwie, ta jasna tarcza!

Gelbmann. A te miliony! Ach!

Wolnodumski. Ale co robić!?

Zażartowski. Pomyślałem i o tem. Najpierw wysadzimy

z łona Bilardni 12 mężów zaufania, którym oddamy majątek Bilardni z dyrektywą, aby go przekazali „Towarzystwu Oświecania niewiast“. Koledzy! Minał czas różnie klasowych, niech znikną różnice płci! Wierzymy w to, że kobiety mają tak samo głęboko fałdowane mózgi jak my, że umysł ich reaguje tak samo jak nasz, i że mogą być tak samo jak my, pionierkami postępu! Im oddajmy to, z czego sami korzystać nie możemy!

Bączalski. To niby ma być takie gynaeceum, o jakim czytałem raz w

Wolnodumski. Ależ nie.

Bączalski. Z resztą ja wolę o tem nie mówić, bo jakby się o tem mój stary dowiedział, toby było jak raz, co mi ucho naciagał, nibyto żebym lepiej słyszał i krzyczał do ucha: „A smyku jakiś! O książkach myśleć nie o niebieskich pończochach!“ Taki jeszcze z niego klerykał, ale ja jestem postępowy.

Wolnodumski. Co do mnie, byłbym za inną liczbą mężów zaufania. Dwunastka trąci kabalistyką i średniowieczną,

Zażartowski. Niech tam sobie gwałciciele inkwizytorzy wraz z kamienicznikami pieczętują drzwi i bramy; my nie zostaniemy bez dachu! Hasłem naszym odtąd: Strażnica!

Klaskal (bije brawo). Śliczne hasło, ale co prawda, to ja go nie rozumię.

Bączalski. Ja już wiem, to tyle co czujność.

Zażartowski. Nie, to nasz nowy przytułek. Kolega Stanleyowicz ofiaruje nam gościnne swe progi, w których z prawdziwie staropolską gościnnością...

Nihilewicz. Co to kolega wygadujesz? Zerwaliśmy ze wszystkim, co...

Zażartowski. Koledzy! Niechciałem niczyich postępowych nezuć obrażać. Tak mi się ot — wyrwało. Daję akademickie słowo honoru!

Gębicki. Do rzeczy! do rzeczy! Więc Strażnica?

Zażartowski. Jest naszą nową Bilardnią!

Bilardowicz. A jest tam bilard?

Gelbmann. Kolega to zawsze tylko myśli o wesołości. To jest najlepiej, że się nie będziemy potrzebowali bać od ognia.

To jest — ja się i tak nie potrzebowałem bać, ale co bezpieczniej, to bezpieczniej...

X.

*„Pytał raz Litwin — nie wiem — djabła czy Pińczuka:
Dlaczego siedzisz w błocie? — Siedzę — bom przywyknął.”*
Mickiewicz. Pan Tadeusz.

(Wieczór 2-go maja. Knajpa „pod Węgrem“.)

Zażartowski. Tak kolego Głowacki, zawiodły nas nadzieje, a miał to być wielki dzień, dzień przesilenia spekulacyjnego materyalizmu, pogrzebu mieszczańskiej produkeyi kapitalistycznej sprawionego przez uświadomione masy, przez wolną myśl wybujałą na śmieciach i chwastach społecznych.

Głowacki. Na szczęście tych mas dzień ten nie stał się większym od innych. Był może nieco ciemniejszy...

Nihilewicz. Masz słuszność Pankracy! To mógł być wielki dzień!

Zażartowski. Poszedłem, aby zobaczyć, jak daleko doszło w armii Helotów uspołecznienie i uświadomienie zasad.

Na ulicach była cisza, jak zwykle przed burzą. Jaskinie kamieniczników stały w głuchem milczeniu, Moloch burżuazyi nowożytny Midas drżał. W tem zaczerniało coś w oddali i doszedł mych uszów niewyraźny okrzyk. To byli oni. Na czele sansculotów kroczył Kuligiewicz piernikarz, za nim Pociągęł spoglądając z ukosa po szybach, dalej Wyjak, Burda i inni bohaterowie przyszłości. Była to chwila uroczysta. Kuligiewicz stanął, spojrzął po towarzyszach, otworzył usta i już, jż spodziewałem się usłyszeć wzniosłą mowę wzywającą do czynu! W powietrzu rozlewała się woń potu ludu, który mię upajał, którym skropiony bruk miał wydać drzewo odwetu.

Wtem — zamiast piorunowych słów złotoustego mówcy Heloty boleśnie rozdarł duszę moją bezmyślny okrzyk jękającego się piernikarza: P... p... pierniki k... k... kawalerskie! Burda zawtórzył mu: Fiołki świeże! — i zniknęli, a ja zostałem ze złamanem sercem...

Klaskal (nie bije brawa). Wielka manifestacya Syzyfów społeczeństwa skończyła się na kilku antysemitycznych okrzykach!

Gelbmann. Dobrze, co oni tylko wykrzykali...

Głowacki. Ha! ha! ha! Prawda, a wszakżeż to kolega wznosiłeś przed kilku miesiącami toast na cześć 1-go Maja!

Gelbmann. Ja myślał co on będzie inny.

Wolnodumski. Toast?

Gelbmann. Nie, ten maj.

Zażartowski. O tak! Era zwichnięcia równowagi między podażą a popytem, ekonomiczna przewaga kapitału nad pracą trwa dalej... A na kim ciąży wina za ten haniebnny stan? Na kamienicznikach!

Klaskal (bije brawo). I na Odłącznikach!

Głowacki. Mówicie wciąż kolego o waszych głęboko sfałdowanych zwojach mózgowych... Powiedzcież mi, co ma wspólnego „Odłączność“ z majem?

Klaskal (zaczyna bić brawo — ale przestaje). Właśnie to im zarzucam, że nie wspólnego nie mieli, że nie są tak jak my

Głowacki. Majowi.

Zażartowski. Jak kolega chcesz, ale oni dużo niżej od nas stoją. Terminatorstwo fachowe, utrudnione wyładowywanie się energii ich mózgowo — nerwowych komórek, duchowy helotyzm, paraliż psychiczny i znieczulenie moralne czynią ich ociężałymi do pracy, do której jesteśmy powołani. Lizusy! Świątynia złotego cielca! grób pobielany!

Gelbmann. Po co?

Zażartowski. Grób pobielany, powiedziałem!

Gelbmann. Ja nie całkiem dobrze zrozumiałem o co kiedze chodzi, ale ja myślę, co dla nich nie potrzebny taki duży grób, aż po Bielany.

(Wszyscy się śmieją).

Gelbmann (oburzony). Ja tu nie do śmiania nie widzę. Na co oni mają mieć większy grób jak inni.

Nihiliewicz. Już co lizusy, to lizusy. Wszystkim wiadomo, że utworzenie swojej Bilardni uzyskali lizaniem.

Gębicki. Ale, ale, czytałem coś o tem w „Biegunie lwowskim“ i „Najnowszej naprawie“ ale nie wiem dokładnie, jak się to stało.

Nihilewicz. Jak się stało. Lizali się i wylizali bilar-dnię, potem urządzili wieczorek 3-go maja i udawali na nim pa-tryotów, ale to wszystko blichtr i blaga. Wstecznik nie może być patriotą. Potem poszli do restauracyi, jak mówili na ucztę, ale to była zwykła kolacya, na której lizali talerze a swoją drogą lizali się Areopagowi.

Gębicki. Ciekawym, jak tam w tej ich Bilardni wygląda i co oni tam robią.

Nihilewicz. Liżą się!

Klaskal (bije brawo). Ale komu?

Nihilewicz. Im wszystko jedno komu, byle się lizać.

Bilardowicz. A bilard mają?

Podgląda (wehodzi). O czem mówicie?

Gębicki. O nowej Bilardni lizusów.

Podgląda (z dumą). Ja tam byłem! Przebrałem się, umyłem i uczesałem się i nie poznany wszedłem do ich kryjówki. Okropność! Za senackie pieniądze kazali sobie zrobić malowane i takie śliskie posadzki, że o mało nie złamałem nogi. Pierwszy pokój założyli dziennikami, a na samym wierzchu leży „Przed-wczorajsza godzina“ i „Przepatrywacz światowy“.

Nihilewicz. Czytali?

Podgląda. Gdzie tam! Dopiero jak mię zobaczyli, chwycili za gazety i udawali że czytają. Jeden trzymał nawet gazetę do góry nogami. W następnym pokoju stoi

Bilardowicz. Bilard?

Podgląda. Nie, fortepian, na którym wygrywali jakieś pieśni, zapewne kościelne, a obok fortepianu szafy z książkami. Nie oglądałem tych książek, ale pewnie nie ma tam Marxa, Las-sala etc. W trzecim pokoju stoi bilard.

Bilardowicz. Dobry?

Podgląda. Tego nie wiem. W ostatnim, największym pokoju cała zbrojownia. Na ścianach, na oknach, na podłodze, porozwieszane i porozrzucane, pałasze, rapiery i szpady.

Gelbmann. To bardzo nieładnie z ich strony!

Zażartowski. Ale cóż robią? co myślą?

Podgląda. Mówią, że są przedewszystkiem Polakami, ale ja w to nie wierzę i nie trzeba tego rozgłaszać. Obiecują zainaugurować jurydykcyjne reformy socyalne czy coś takiego, bo ja to niedobrze rozumię te rzeczy, ale cóż zdziała takie anemiczne, bezjutrzkowskie pokolenie?

Oni, to nie my! — ja wam to mówię!

Gelbmann. I ja także...

Głowacki. A kimże wy jesteście?

Zażartowski. My w stosunku do nich — Ikary! Oni mają u nóg ołów, skrzydła my!

Głowacki. I gęsi.

Bączalski. Właściwie, to ten Ikar podobno się utopił?

Nihilewicz. Nie wtrącaj się, bo tego nie rozumiesz. Tak się mówi...

Zażartowski. My poniesiemy przyszłości pochodnię, my wlejemy w stary wór strupieszalej ludzkości wino nowe, krzepiące!

Głowacki. A wlewacie zagraniczne musujące i fałszowane.

Zażartowski. Oto ich sposób zwalczenia — insynuacye i błędne tłumaczenie myśli!

Trzeba mieć w głowie soczewkę skupiającą i ogniskującą rozprószone promienie, a można zebrać dużo światła i obiektywnego poglądu na stosunki. Program nasz powinien streszczać się w postulacie polityczno-społecznej emancypacyi mas. Bez tego jak sądzę, dojdziemy do absurdu...

Gelbmann. Bravo kolego, bravo! Ja także...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Od redakcyi.

Kolega Lucyan Rydel nadesłał nam list, w którym oświadcza, że czuje się przykro dotknięty dopiskiem, jaki bez jego wiedzy umieściliśmy pod artykułem o „Jednodniówce akademickiej» i że skutkiem tego z grona redakcyi „Przeglądu akademickiego» ustępuje. Z prawdziwą przykrością przychodzi nam rozstać się z kolegą, którego uważaliśmy za jedną z najdzielniejszych sił naszych i ubolewamy szczerze, że różnice zdań żadną miarą wyrównać się niedające stały się przyczyną jego ustąpienia. Pocziesza nas zapewnienie kolegi Rydla, że »Przeglądowi akademickiemu« zachowa jak dotychczas życzliwość i poparcie.

